

Wojciech Bak, Tomasz Bochinski

Krolowa Alimor



STRAŻNICY GÓR

NILGHIR

Valkara obudziło przejmujące zimno przenikające do chaty. Jeszcze się ociągał ze wstaniem. Chciał zatrzymać pod powiekami resztki pierzchającego snu. Poderwał się na równe nogi dopiero, gdy usłyszał płacz swojej siostrzyczki Mayo. Wskoczył nagi spod futer i szybko się ubrał. Podszedł do małej. Szczelnie opatulona na pewno nie zmarzła, ale była głodna. Podzielił się z nią, jak zwykle, porcją pożywienia. Mayo połykała suszone mięso i śmiała się z pełnymi ustami. Nie zdawała sobie sprawy, że to co czyni jej brat jest wykroczeniem przeciwko postanowieniom Rady Siwych Głów.

Zima tego roku zaczęła się bardzo wcześnie. Prawie natychmiast potoki górskie zostały ścięte lodem, a cała zwierzyna zeszała w doliny. Po kilku miesiącach było już wiadomo, że mrozy nie skończą się szybko. Zapasy, które ród Eldów zgromadził na zimę powoli się wyczerpywały i widmo głodu zaczęło zaglądać do chat. Wreszcie podjęto decyzję i wszyscy mężczyźni zdolni do naciągnięcia ciężkiemu łuku, wyruszyli na łowy. W wiosce zostali starcy, kobiety, dzieci i kilkunastu wyrostków, którzy mieli bronić osady w razie jakiegoś niebezpieczeństwa. Tylko oni, by zachować siły, dostawali w miarę duże porcje żywności i nie wolno im było się nimi z kimkolwiek dzielić. Valkar łamał ten surowy nakaz bez skrępowań — bardzo kochał swoją siostrę. Po śmierci matki był jej opiekunem.

Rozległ się odgłos bicia w bęben. Znowu zbierano Radę. Valkar poprawił rzemienie przy butach, naciągnął kurtkę z głębokim kapturem. Przyszła jego kolej by stanąć na czatach, strzec bezpieczeństwa wioski. Przytroczył do boku zakrzywiony nóż i chwycił w ręce topór na długim drzewcu. Pochylił się nad zasypiającą Mayo i pocałował ją. Nagle drzwi otworzyły się i wraz z podmuchem zimnego wiatru do chaty wtargnął przyjaciel Valkara — Colm.

— Witaj — pozdrowił go.

Przybysz skinął głową i obaj wyszli z chaty.

— Oster cię wzywa — powiedział po chwili Colm. Był bardzo poważny, nie dowcipkował, nie starał się nawet, jak to zwykle miał w zwyczaju, wcisnąć garści śniegu pod kurtkę Valkara. Ten ostatni zastanawiał się nad powodem, dla którego wzywał go do siebie naczelnik wioski. Naciągnął mocniej na oczy futrzany kaptur, bo choć wiatr nie wył już tak przeraźliwie, to mróz był coraz większy. Mijali zasypane śniegiem chaty. Mimo pożerającej go ciekawości, Valkar nie zadawał żadnych pytań przyjacielowi, wiedział, że zbytnia ciekawość jest cechą kobiet i dzieci. Gdy nadejdzie czas wszystkiego się dowie.

Zbliżali się do chaty większej niż pozostałe, tu zbierała się Rada Siwych Głów. Coim

pchnął drzwi. W twarze uderzył ich podmuch ciepłego powietrza. Gdy znaleźli się wewnątrz, zrzucili kaptury. Powoli ich oczy przyzwyczajały się do półmroku. Pośrodku chaty płonęło niewielkie ognisko.

Podszedł do nich Oster, wysoki, kościsty starzec.

— Witaj ojcze — pozdrowili go. Starzec niedbale skinął głową.

— Możesz odejść — zwrócił się do Colma, który niechętnie opuścił chatę. Valkar został sam z dostojnymi mędrkami rodu Eldów.

— Siadaj — wskazał mu miejsce Oster.

Yalkar był onieśmielony. Po raz pierwszy uczestniczył w Radzie Siwych Główn.

— Zapewne dziwisz się czemu cię wezwaliśmy — rozpoczął naczelnik. — Jeden z naszych zwiadowców wykrył zbliżającą się bandę Racheesów. Ród ich jest naszym śmiertelnym wrogiem. Na pewno zechcą nas zaatakować wykorzystując nieobecność naszych łowców.

Yalkar ze zrozumieniem pokiwał głową. Był zaskoczony wiadomością, ale nie okazywał tego.

— Wiesz, że naszym głównym zadaniem — kontynuował Oster — jest zachowanie ciągłości rodu. Jeśli ród zginie, nasz przodek Wielki Łowca Eld, zostanie przeklęty przez Bogów. Wybraliśmy jedyne możliwe obecnie wyjście — udasz się do twierdzy Sar-Dai i poprosisz o pomoc Strażników Gór.

Gdy Yalkar usłyszał polecenie naczelnika, skurczył się ze strachu. Szybko go jednak opanował. Jeden ze starców wstał i przyniósł bulgoczący kociołek i olbrzymi płat mięsa. Młodzieniec przełykał nerwowo ślinę. Oster wskazał potrawę.

— Jedz. Przed długą drogą musisz nabrać sił.

Mimo ogromnego głodu, Valkar starał się jeść powoli i dostojnie. Gdy skończył, odstawił kociołek w kąt. Podszedł Roan — drugi po Osterze w Radzie. Trzymał w rękach długi zakrzywiony nóż w poczerniałej ze starości pochwie. Starzec zwrócił się do Yalkara:

— Daj mi swój zen-nath.

Gdy młodzieniec mu go podał, Roan uderzył nim z całej siły o znajdujący się w chacie Obrzędowy Kamień. Ostrze pękło na kilka części. Starzec ponownie uderzył w Kamień, tym razem swoim nożem. Rozległ się wysoki dźwięk, a na klindze nie pojawił się nawet ślad zadrapania. Yalkar popatrzył z podziwem na starą broń. Oster wziął ją od Roana i podał młodzieńcowi.

— Jest twój. Spójrz na magiczne znaki, wryte są na klindze. To one dają siłę temu ostrzu.

Yalkar wziął nóż do ręki — był jakby specjalnie dla niego robiony i pewnie leżał w dłoni. Pogładził długie ostrze, po czym zatknął nóż za pas.

— Więcej broni nie zabierzesz. Zbyt obciążałaby cię w marszu. Dostaniesz jeszcze na drogę zapas jedzenia. Wyruszysz natychmiast.

Już trzy godziny Yalkar biegł doliną zamrożonego potoku. Powtarzał sobie w myślach wskazówki Oстера, mówiące jak dojść do fortecy Strażników Gór. Jeżeli nie będzie padał śnieg, może uda mu się tam dotrzeć w ciągu dnia. Yalkar spieszył się wiedząc, że każda chwila jest droga. Jednocześnie im bliżej był celu, tym bardziej się bał.

Nikt nie wiedział skąd wzięli się Strażnicy. Nie należeli do żadnego rodu. Od niepamiętnych czasów siedzieli w górach. Uznawali władzę księcia, tak jak El-dowie, wyłącznie na Nizinach nic sobie nie robiąc z niej pośród gór. Za swoje usługi pobierali zawsze taką samą cenę. Żądali młodych mężczyzn, których nikt już nigdy później nie widział. O losach owych nieszczęśników snuto różne domysły. Najczęściej mówiono, że chłopcy są mordowani w czasie rytualnych uczt, a serca ofiar zjadają Strażnicy. Właśnie to zapewniało im, jak niosła wieść, niezwykle właściwości. Yalkar nie widział ich nigdy, bał się zginąć, ale świadomość powinności wobec rodu tłumiała strach.

Młodzieniec przyspieszył kroku, do zapadnięcia ciemności było jeszcze kilka godzin. Nagle ciszę gór przerwał ochryply ryk dzikiego zwierza. Mimo przejmującego chłodu Yalkar czuł jak robi mu się gorąco, a strumyczki potu spływają po ciele. „To khan” — pomyślał i zaczął baczniej obserwować okolicę. Teraz wyścig ze śmiercią rozpoczął się na dobre. Jeżeli khan go zwietrzył, to Yalkar wiedział, że albo on, albo zwierzę zginą w tej dolinie. Khani — jak nazywali go pieszczotliwie ludzie z gór, to było wściekłe bydlę. Zwietrzywszy ofiarę ścigało ją dopóki nie zabiło jej lub samo nie padło. Zwierzę miało wiele cech, które upodobiały je do człowieka. Wielkości mężczyzny, poruszało się zarówno na dwóch, jak i na czterech łapach. Zęby i pazury ostre jak brzytwy, nie dawały wielkich szans zaatakowanej ofiarze.

Yalkar przystanął. Zdawało mu się, że słyszy skrzypienie śniegu, jednak wiatr znowu się wzmógł i zaczął przeraźliwie zawodzić zagłuszając wszystko dokoła. Młodzieniec wczołgał się pod nawis skalny, by się posilić przed ostatnim odcinkiem marszu. Musiał się wdrapać po jednej ze ścian wąwozu i przejść przez most przerzucony nad zamrożonym potokiem. Akurat po tej stronie, gdzie znajdowała się forteca Sar-Dai, ściany wznosiły się prostopadle i bez lin nie można było ich pokonać. Yalkar zaczął nasłuchiwać — wiatr ustał na chwilę i wtedy młodzieniec wyraźnie usłyszał skrzypienie śniegu i chrapliwe posapywanie. Wyciągnął nóż i błyskawicznie wyskoczył spod nawisu. Był gotowy do walki. Szarzało,

widoczność pogarszała się z każdą chwilą. W pobliżu nie było nikogo — tylko wiatr był coraz głośniejszy. Schował broń.

Musiał się spieszyć. Zaczął wspinać się po usypisku skalnym. Po prawej ręce widział już kładkę, gdy nagle usłyszał rumor osypujących się kamieni. Rzucił się w bok i szeroko rozpostarł ręce by zatrzymać się o jakiś występ skalny. Lawina głazów przetoczyła się obok niego. „Khani jest naprawdę przebiegły” — pomyślał. Zaczął się wspinać szybciej. Dotarł do ścieżki, która przebiegała tu wzdłuż wąwozu i prowadziła do mostku. Biegł wyciągając mocno nogi. Dostawszy się na kładkę, zwolnił. Zaczął przechodzić po niej oddychając powoli i głęboko. Regulował pracę zmęczonego serca. Był już po drugiej stronie, odwrócił się i zamarł.

Na opuszczonym dopiero co brzegu wąwozu, stał wpatrując się łakomie w niego — khan. Zwierzę stało na dwóch łapach, przypominało człowieka w długim futrze. „Młody” — pomyślał Valkar patrząc na jego jasnobrązową sierść. Wiedział, że ucieczka na nic się nie zda. Czekał. Khan był już pewny zdobyczy. Powoli przechodził przez kładkę zachłannie wpatrując się w człowieka. Valkar szybko ściągnął kurtkę. „Będzie tylko krępowała ruchy” — pomyślał i wy dobył nóż. Khan przebył most i rycząc wściekle ruszył do ataku. Valkar szybkim ruchem zarzucił mu kurtkę na głowę. Zdezorientowany zwierzę zaczęło się kręcić w kółko, szarpiąc długimi pazurami zasłonę. Wykorzystując to, Valkar podbiegł do niego i wbił mu z całej siły nóż w plecy pod łopatkę. Żelazo weszło gładko. Rozległ się przerażający ryk. Valkar odskoczył od potwora. Khan przewrócił się i znieruchomiał. Valkar dyszał, bał się zbliżyć do zwierzęcia podejrzewając podstęp. W końcu poczuł chłód, podszedł do trupa. Rozpierała go młodzieńcza duma — dokonał pierwszego męskiego czynu. Wyciągnął zennath. Odciął nim łapy khana i wyłuskał mu kły z mordy. Wzdrygnął się. Za bardzo przypominała twarz ludzką. Owinął zdobycz w strzępy kurtki i ruszył żwawo.

Zmrok już zapadł. Noc była księżycowa. Mróz stęzał. Valkar czuł zimno przenikające całe ciało. „Ręce mam już na pewno odmrożone” — pomyślał. Z prawej strony zobaczył dwie skalne iglice, które mu opisywał Oster. Wszedł między nie. Zaraz za nimi rozpościerała się dość duża kotlina. Dostrzegł twierdzę. Gdyby nie jasna noc pewnie nie odróżniłby budowli od skał. Była to zrujnowana forteca i nie wydawało się, by w niej ktoś mieszkał. Dwa bastiony miała zburzone, widać było, że uczyniła to ludzka ręka. Jedyne wieża stała dumnie godząc w niebo. Wszystkie okna ponurej warowni były nieoświetlone, a część z nich zamurowana. Bez namysłu przecisnął się przez wpół uchylone odrzwia, za nimi leżała na ziemi krata niegdyś strzegąca wejścia, obecnie wyłamana i bezużyteczna. Po kilkunastu krokach wąski tunel skończył się. Chłopak wyszedł na wybrukowany płaskimi głazami podwórzec, pośrodku

którego stał oświetlony zimnym lśnieniem księżyca posąg rycerza. Valkar zbliżył się do niego i nie opanował okrzyku przerażenia — postać nie była rzeźbą, patrzyła na niego uważnie oczyma o szarych opalizujących tęczęwkach, ledwo widocznymi pod okapem głębokiego hełmu.

Młodzieniec padł na twarz, nawet khan nie wzbudził w nim takiego lęku, jak ta milcząca postać.

— Wstań! — zabrzmiał głos podobny do chrapliwego skwiru orła. Uczynił to z trudem, przemarznięte ciało nie chciało go już słuchać. — Chodź za mną.

Olbrzymi wojownik odwrócił się i poszedł w kierunku wieży. Valkar podążył za nim potykając się i zataczając. Po chwili znaleźli się w niej. Przebyli długie poszczerbione schody, wreszcie rycerz pchnął jakieś drzwi, przytrzymał je i wskazał Valkarowi, by wszedł pierwszy. Oczom chłopca ukazała się skąpo oświetlona, niewielka komnata. Ciepło jakie tu panowało oszołomiło go tak, że obawiał się, iż zemdleje. Zachwiał się, ale w tej chwili ujęła go twarda dłoń, ściśnięte przez nią ramię natychmiast zdrętwiało.

— Siadaj.

Valkar opadł na szeroki, pokryty miękką skórą nieznanego mu zwierzęcia, stolec z wysokim oparciem. Wojownik usiadł naprzeciwko. Dopiero teraz widać było jak ponurą i poznaczoną bliznami ma twarz. Prawdziwy „Nathrein” — Łaknący Krwi — pomyślał Yalkar. W tej chwili jednak ta straszna twarz wyrażała tylko zaciekawienie.

— Kim jesteś? — spytał.

— Nazywam się Yalkar, panie. Zostałem wysłany przez Radę Siwych Główn rodu Eldów z prośbą o pomoc... przekłęci Racheesowie, hieny żyjące z rabunku będą za dwa dni w naszej wiosce...

— Czyż wasi wojownicy są tak tchórzliwi, że nie stawiają czoła wrogom? — spytał pogardliwie rycerz.

Przemarznięta twarz młodzieńca spąsowiała.

— Panie Mężowie Eldów są najwaleczniejsi w całym paśmie gór Nilgnin, jednak w wiosce pozostały tylko kobiety i dzieci. Starcy i młodzi wojownicy stoją w gotowości do walki, ale Racheesowie są liczni i choćby każdy z nas zabrał trzech spośród nich do podziemnego Królestwa Karii, to i tak byłoby to za mało, by uratować nasz ród.

Yalkar wstał i powiedział mocnym, zdecydowanym głosem:

— Panie, błagam Cię w imieniu Rady Siwych Główn, pomóż nam pokonać naszych wrogów. Nie prosimy Strażników Gór o pomoc w zbrojeckiej napaści, a o ratunek dla Eldów.

Strażnik skinął głową.

— Znacie cenę?

— Tak, panie — odparł spokojnie młodzieniec, choć w głębi duszy targał nim strach.

— Dobrze. Zostań tutaj, niedługo przekażę ci naszą decyzję. Olbrzymi Strażnik — Yalkar ocenił jego wzrost na co najmniej siedem stóp — wyszedł z komnaty stąpając cicho, jak górska pantera.

Mimo zmęczenia i napięcia nerwowego, Yalkar rozejrzał się ciekawie po komnacie. Całe jej umeblowanie stanowiły dwa fotele i duży stół z czarnego drewna. Na podłodze, która tworzyły identyczne jak na podwórku tylko bardziej wygładzone głązy, leżała skóra khana — musiał to być potwór, stary samotnik zabójca. Ten, który zaatakował Yalkara był o dobrą połowę mniejszy. Ściany komnaty pokrywały na wpół zatarte malowidła, pamiętające zapewne czasy, gdy rycerz — banita przybył w góry Nilghiri, by założyć tu swe Skalne Gniazdo. Herby rodowe zdobiły sufit ledwie widoczny w blasku pochodni zatkniętej w żelaznym uchwycie przy drzwiach. Ciche kroki oznajmiły powrót Strażnika. Stał w drzwiach i powiedział:

— Strażnicy Gór udzielą pomocy rodowi Eldów. Wyruszymy natychmiast. Yalkar zerwał się na równe nogi, nie spodziewał się tak błyskawicznego działania. Strażnik rzucił mu trzymaną dotąd w ręku kurtkę z futra tarkona.

— Weź to. Poprowadzisz nas do swojej wioski, synu Eldów.

Yalkar wdzwiewając podarowane mu futro zauważył, iż Strażnik ma na sobie przedziwny strój przypominający nieco ubiór górali. Jedynie długi miecz umieszczony w pochwie na plecach olbrzyma wskazywał na to, że jest on groźnym wojownikiem. Ale nie oręż, a obręcz ściskająca ramię rycerza tuż przy barku przykuła wzrok Yalkara. Koloru starej miedzi, szeroka na trzy palce pokryta była dziwnymi runami, w których młodzieniec domyślał się straszliwych zaklęć. Znał legendy mówiące o tym, że obręcz można zabrać Strażnikowi tylko wraz z życiem i wierzył w nie całkowicie.

Gdy stanęli na podwórku, Yalkara opanowało zdumienie, a potem uczucie gorzkiego zawodu. Strażnicy zakpili sobie z niego! Czekają na nich tylko dwóch wojowników. To było wszystko, co proponowali mu władcy strażnicy Sar-Dai. Podniósł wzrok na swego dotychczasowego przewodnika. Strażnik dostrzegł jego wątpliwości i uśmiechnął się. Yalkar teraz przypomniał sobie opowieści o tym, jak sześciu Strażników pokonało ekspedycję karną Księcia liczącą trzystu pancernych i pięćset włóczy. Odetchnął z ulgą — Racheesowie byli zgubieni.

— Prowadź! — powiedział Nathrein.

Młodzieniec bez wahania ruszył ku bramie. Kroki czterech wojowników zachrzęściły na kamieniach podwórca, potem w tunelu, wreszcie wchłonęła ich noc i góry.

Mroźny ranek, jaki wstał nad wioską Eldów zastał drużynę sformowaną ze starców i młodzieży kończącej przygotowania do walki. Starzy wojownicy sprawdzali swój wypróbowany w wielu walkach oręż, a młodzieńcy napinali cięciwy łuków słuchając ich brzęku i układali w kołczanach strzały o szarych beltach. Wreszcie Oster ujął w prawą dłoń włócznię. Drużyna potraktowała to jak hasło. Wszyscy stanęli w szeregu. Naczelnik uniósł włócznię, słońce zabłysło na jej grocie.

— W imię Łowcy Elda — za mną! Ruszyli, gdy wtem dotarł do nich okrzyk:

— Stójcie!

Colm obejrzał się przez ramię i dostrzegł swego przyjaciela, którego nie spodziewał się już zobaczyć żywego. Za nim w dolinę zstępowali trzej olbrzymi wojownicy, słabo widoczni z powodu swych zlewających się barwą ze śniegiem strojów. Strażnicy Gór przybywali z pomocą rodowi Eldów.

Mieszkańcy warowni Sar-Dai zabawili w wiosce zaledwie kilka chwil. Po uzyskaniu od Oстера informacji dotyczących liczebności Racheesów i miejsca, gdzie wytropili ich zwiadowcy Eldów, wyruszyli naprzeciw zbliżającej się bandzie. Odmówili przyjęcia pomocy ofiarowanej przez Naczelnika i zapowiedzieli swój rychły powrót po zapłatę. Valkar po ich odejściu, dokładnie wypytał Colma o to, gdzie znajdują się Racheesowie. Przyjaciel bez wahania wskazał mu miejsce obozowania wrogów. Yalkar ubrał się cieplej, zatknął za pas swój nóż, a na plecy zarzucił łuk i kołczan pełen strzał. Następnie wymknął się po cichu z wioski — Oster zabronił tego surowo, ale chłopiec był tak ciekawy sposobu w jaki trzech ludzi pokona bandę kilkudziesięciu Racheesów, iż nie zważał na zakazy. Napastnicy byli, co prawda, zdrażliwi i podstępni, Valkar nienawidził tych parszywych psów z całego serca, nikt jednak nie mógł zarzucić Racheesom tchórzostwa, a ich przeciwnicy nigdy nie oglądali ich pleców w walce. By znaleźć się w pobliżu wioski Eldów napastnicy musieli przejść przez Kotlinę Trzech Potoków. Była to jedyna droga do wsi.

W krótkim czasie, tylko sobie znanymi ścieżkami Valkar znalazł się w tej kotlinie. Ze wszystkich stron otaczały ją postrzępione, czarne skały. Gruba pokrywa śniegu zasłoniła miejsca, którymi płynęła woda i dno kotliny było płaskie jak stół, tylko gdzieniegdzie spod śniegu wystawał wielki głaz. Promienie słoneczne odbijały się od nieskazitelnie białej powierzchni. Śnieg był tak skuty mrozem, że nie było widać na nim żadnych śladów. Ani jedno zwierzę, czy też nawet wiatr nie zakłócały ciszy, jakby w przeczuciu mających nastąpić wydarzeń. Valkar wdrapał się błyskawicznie na znaną mu półkę skalną. Położył się na

brzuchu. W tej pozycji widział całą kotlinę jak na dłoni. Czekał nasłuchując.

Usłyszał gwar zbliżających się rozmów. Drgnął. To mogli być tylko Strażnicy Gór. Valkar był niesłychanie zdziwiony, dlaczego ci doświadczeni wojownicy są tak nierozważni. Wkrótce chłopiec ujrzał ich. Zatrzymali się opodal tego miejsca, gdzie się schował. Rozmawiali głośno nie kryjąc swojej obecności. Wreszcie zamilkli. Jeden z nich, w którym chłopiec rozpoznał Nathreina — olbrzyma z płową grzywą włosów i twarzą poznaczoną bliznami — odłączył się od pozostałych i zaczął sprawdzać nogą twardość podłoża. Pozostali uważnie obserwowali zbocza i drugie wejście do doliny. Yalkar był pewien, że wywiadowcy Racheesów niedługo pojawią się w kotlinie, element zaskoczenia pryśnie, i nic nie ocali Strażników Gór mimo ich waleczności. Przyklęknął na jedno kolano. Ukryty za głazem zdjął z pleców łuk i przygotował strzały. W duchu modlił się tylko do swoich przodków, aby mógł zabić jak najwięcej wrogów. To nic, że sam zginie, ale może ocali choć parę istnień ze swojego rodu.

Młodzieniec obserwował z uwagą Strażników Gór. Przywódca oddalił się od nich i zatrzymał na środku kotliny, obserwował wejście do niej. Chłopiec mocniej ścisnął łuk, do kotliny wchodził powoli oddziałek Racheesów. Valkar był pewny, że większość bandy wietrząc podstęp pozostaje ukryta wśród skał. Na czele drużyny zwiadowców szedł wielki mężczyzna o długich, rudych włosach spadających na kark. Valkar poznał go. Był to Dols — zwany Lisem. Chłopiec często o nim słyszał. Był to jeden z bardziej znanych wojowników Racheesów, a jednocześnie najzagorzalszy wróg Eldów. W czasach swojej młodości Dols, w jednej z licznych bitew, postradał oko. Źle zablizniony oczodół nadawał szczególnie okrutny wyraz jego twarzy. Wszyscy Racheesowie mieli obnażone ramiona, ściskali w dłoniach łuki. Ich czarne, skórzane kubraki wyraźnie odcinały się od białego tła.

Dols zatrzymał swoich ludzi i gestem ręki nakazał okrążyć Strażnika, który przyglądał się temu ze stoickim spokojem. Racheesowie napięli łuki. Valkar wziął na cel Dolsa i już miał wypuścić strzałę, gdy Nathrein podniósł rękę. W tym momencie cięciwa Yalkara zwiotczała i... po prostu rozpadła się. To samo stało się z łukami Racheesów. Czary te nie przstraszyły ich, porzuciwszy łuki runęli z wściekłością na Strażnika Gór. Pierwszy z Racheesów, zaplątał się w zarzuconą przez Strażnika szarą burkę i miotał w niej bezradnie. Valkar wspominając swoją walkę z khanem mimo woli uśmiechnął się. I wtedy Nathrein, jakby wyrzucony przez sprężynę, poszybował nad nieprzyjaciółmi muskając dwóch z nich nogami. Padli natychmiast. Ledwie Strażnik Gór dotknął stopami ziemi rozpląnął się w powietrzu. Yalkar wpatrywał się ze zdumieniem w to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Strażnik. Nagle

chłopiec drgnął ze strachu, potężny głos przetoczył się przez kotlinę i wrócił echem odbity od gór. — Karey, ty sukinsynu, pozwól i nam się rozgrzać!! Dwie postacie, jakby wysypane z niewidzialnego rękawa, spadły na Racheesów. Wtem chłopiec spostrzegł u wylotu doliny resztę bandy. Ku nim skierował się Nathrein. Natomiast pozostali dwaj: Mille val Tirach — Milczące Usta, jak nazwał go Yalkar, który dotąd nie zauważył, by wypowiedział choć jedno słowo i ostatni Strażnik rozprawiali się ze zwiadowcami. Mille val Tirach wydobył miecz i odpierał nim ataki kilku przeciwników, co chwila któryś z Racheesów padał na obryzganą krwią śnieg. Trzeci Strażnik nie dobył oręża, walczył równie skutecznie posługując się rękoma i nogami, śmiał się przy tym przerazliwie. Valkar patrzył na niego z podziwem, gdy gołymi rękami pozbawiał życia uzbrojonych przeciwników.

Dols stał z boku i przyglądał się walce. Wiedział, że w tym tłoku nie ma szansy ugodzić śmiertelnie przeciwnika. Czekał na sposobną chwilę. Na drodze nacierających głównych sił bandy stanął samotny Karey-Nathrein. Gdy Ra-cheesowie byli już całkiem blisko, wykonał kolisty ruch obydwoma ramionami. Valkar zacisnął powieki. Był przyzwyczajony do różnych okrucieństw, ale takiej rzezi dotąd nie widział — jakby niewidzialne ostrze przetoczyło się przez oddział. W kotlinie leżały w kałużach krwi bezkształtne bryły ludzkiego mięsa.

Mille val Tirach ochoczo wymachiwał mieczem, a trzeci Strażnik stanął z boku i uważnie mu się przyglądał. Valkar zrozumiał teraz, jak potężni są Strażnicy Gór. Dla nich ta walka była dziecinną zabawą. Każdy z Racheesów, który skrzyżował oręż z Milczącymi Ustami padał prawie natychmiast martwy.

Trzeci Strażnik spostrzegł Dolsa, ruszył mu naprzeciw dobywając tym razem miecza. Dols widział pogrom swoich towarzyszy, ale ani myślał uciekać. Skrzyżowali ostrza. Dols cofnął się po pierwszym starciu i wtedy Strażnik, poślizgnąwszy się na marznącej krwi, upadł. Rachees wężowym pchnięciem chciał przygwoździć Strażnika do ziemi. Ten jednak schwycił ostrze gołą dłonią i wyrwał Dolsowi miecz. „Dobra Ręka” — Dary Nann — pomyślał Valkar. Dols rzucił się na Strażnika, a on nie zważając na krew ciekącą z rany zwarł się z Dolssem w śmiertelnym uścisku. Po chwili Dary Nann bez wysiłku odepchnął rywala, który potoczył się po ziemi. Skoczył mu na kark. Chłopcu wydało się, że słyszy trzask łamanych kości. Dols w śmiertelnych drgawkach darł palcami śnieg, w końcu znieruchomiał. Mille val Tirach tymczasem, walczył z ostatnimi dwoma Racheesami i cały czas obserwował Dobrą Rękę, gotów mu przyjść z pomocą.

— Kończ — odezwał się Dary Nann.

Mille val Tirach wziął potężny zamach, miecze Racheesów nie powstrzymały

śmiercionośnego ostrza, które przecięło ich na pół. Z bandy nie został nikt żywy, kto mógłby zanieść wieść o klęsce. To był koniec potęgi tego rodu. Val-kar położył się, by nie zwrócili na niego uwagi groźni sojusznicy. Nie bardzo mógł uwierzyć w to, co zobaczył. To nie mogły być zwykłe czary. Uniósł głowę i spojrzał na Strażników; zdumiał się po raz kolejny tego dnia — ręka Dary Nan-na już nie krwawiła, choć miecz rozciął ją do kości. Strażnicy rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym nie oglądając się na pobojowisko ruszyli do wioski Eldów.

Gdy Valkar dotarł do obozu zapadał zmierzch. Przed chatami było pełno kobiet i dzieci. Wszyscy cieszyli się ze zwycięstwa. Młodzieniec patrzył na radosny tłum i zastanawiał się na tym, czy rzeczywiście Strażnicy zawdzięczali swoje nadludzkie możliwości pożerany sercom ludzi. Przypuszczenie to mroziło mu krew w żyłach. Skierował swoje kroki do Chaty Narad. Po drodze spotkał Colma, który za wszelką cenę chciał dowiedzieć się czegoś o tajemniczej wyprawie przyjaciela.

— Nie bądź taki ważny. Powiedz, co widziałeś? Valkar wzruszył ramionami, milczał.

— Myślisz, że jak doszedłeś do Sar-Dai, to możesz zadzierać nosa? Colm odwrócił się plecami do druha. Usłyszeli głucho bicie bębna. Wzywał on do Chaty Narad. Przed obszerną budowlą z grubych bali, na udeptanym śniegu, paliło się ognisko. Oświetlało ono postacie Oстера i Strażników Gór. Migotliwy blask wyławiał z mroku twarze zebranych ludzi. Cienie wydłużały się, to skracały w miarę, jak dorzucano drewno do ognia. Gdy wszyscy mężczyźni i chłopcy zebrali się, Oster postąpił krok do przodu, podniósł rękę i przemówił.

— Wszyscy wiecie, że dziś żywot rodu Eldów był zagrożony. Dzięki Strażnikom Gór niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Wybierzemy teraz najlepszych młodzieńców, którzy muszą się bezwzględnie podporządkować Strażnikom. Ucieczka czy też jakikolwiek opór wybranych będą przeze mnie osobiście karane śmiercią.

Oster skończył i westchnął ciężko. Wystąpił teraz jeden ze Strażników, Val-kar rozpoznał w nim Nathreina. Za nim kroczył zabójca Dolsa. Przeszli powoli przed stojącym szeregiem mężczyzn. Na twarzach Eldów nie było widać strachu, nie gościły też na nich żadne inne uczucia. Polec w ten, czy inny sposób w obronie rodu było przywilejem. Nathrein podszedł do jednego z chłopców.

— Ten — rzekł wskazując na krępego blondyna.

Valkar poznał Borka, syna najlepszego tropiciela rodu. Bork zawahał się, ale jego dziadek stary Holang pchnął lekko wnuka mając nadzieję, że nikt nie zauważył tego gestu. Wyznaczeni stawali obok Mille val Tiracha patrząc obojętnie przed siebie. Nathrein z Dary Nannem zatrzymali się koło Valkara. Ten spostrzegł, że na dłoni Strażnika nie ma

najmniejszego śladu po otrzymanej w boju ranie. Nathrein zwrócił się do swego towarzysza:

— No i chyba zabierzemy ze sobą naszego małego podglądacza.

Dary Nann z uśmiechem kiwnął głową. Młodzieniec zaczerwienił się, wystąpił mechanicznie naprzód. Poczł jeszcze tylko jak Colm uściskał mu na pożegnanie ramię i powiedział szeptem:

— Zajmę się twoją siostrą...

Strażnicy Gór wybrali jeszcze dziesięciu chłopców. Nathrein zwrócił się do naczelnika wioski:

— Nasza umowa została wykonana. Żegnaj Osterze.

Zgromadzeni patrzyli w milczeniu za oddalającymi się. Po chwili postacie roztopiły się w gęstniejącym mroku.

Świt nad warownią Sar-Dai sprawiał upiorne wrażenie, słońce czerwone i wielkie rzucało pierwsze promienie na zrujnowane bastiony i poszczerbione blanki murów. Grupa Eldów stojąca na podwórcu zamkowym szczękała zębami — z zimna i strachu. Oto byli u celu, czy zostaną zamordowani na ołtarzach bóstw Strażników? Jeden Valkar był spokojniejszy — był już raz w Sar-Dai i warownia nie przerażała go, nie bardzo też wierzył, by Strażnicy pożerali serca wydarte swym ofiarom. Już raczej podejrzewał, iż zginą podczas jakiegoś krwawego turnieju przeprowadzanego ku uciesze właścicieli Skalnego Gniazda lub podczas tajemnych eksperymentów ze sztuką walki jakie niewątpliwie przeprowadzali ci czarownicy. Śmierć z zen-nath w ręku nie była straszna dla Elda — więcej, o takiej śmierci marzył każdy z nich. W drzwiach ocalałej wieży fortecy ukazał się Nathrein. Ponura twarz Strażnika nie wróżyła niczego dobrego, Eldowie kulili się pod jego wzrokiem.

— Chodźcie za mną — czeka was gorąca stawa i odpoczynek — powiedział i nawet spróbował skrzywić usta w swego rodzaju uśmiechu.

Tak zaczął się Pierwszy Dzień pobytu Valkara w twierdzy. Gdy obudzili się z twardego jak kamień snu, Strażnicy każdemu z Eldów wyznaczili oddzielny, podobny do klasztornej celi pokój. Valkar znalazł w nim niezbędne sprzęty i coś co wprawiło go w zachwył — oto do jego celi doprowadzona była woda — czysta i lodowata. Umył się w niej nie bacząc, iż cała podłogę pokryły kałuże. Ledwie to zrobił, gdy przez drzwi wleciał pakunek i zabrzmiał głos Nathreina: — Przebierz się i wyjdź.

Strój okazał się bardzo wygodny, nie krępujący ruchów, miękki a jednocześnie mocny. Był co prawda trochę za duży, ale Valkar nie przejmował się tym; ścisnął talie mocniej szerokim na dwie dłonie skórzanympasem. Wciągnął sznurowane, długie do pól

łydki buty i wyszedł przed celę. W długim korytarzu stali już inni Eldowie zmienieni w zielonych strojach niemal nie do poznania. Nathrein, stojąc dotąd na szeroko rozstawionych nogach z założonymi na plecach rękoma, nakazał gestem by szli za nim. Maszerowali gęsiego mrocznymi korytarzami, czasem wchodząc po paru stopniach, aby później zstępować w głąb. Niechybnie by się zgubili mimo, że jak wszyscy ludzie gór mieli znakomite wyczucie kierunku. Wreszcie dotarli do niewielkiej salki — jedna z jej ścian lśniła jakimś dziwnym metalem, była w niej niewielka wnęka, tylko dla jednej osoby. Obok niej stał Dary Nann. Podchodzili do niego pojedynczo, a on wciskał ich w głąb otworu — rozlegało się wtedy nieomal niedosłyszalne brzęczenie. Wreszcie, gdy wszyscy przeszli przez wnękę, Strażnik powiedział do Nathreina:

— Zabieraj ich. Możecie zaczynać.

Znowu przeszli kilkadziesiąt metrów. Strażnik wprowadził Eldów do przestronnej komnaty.

— No chłopcy, zabawimy się trochę.

Po całym dniu „zabawy”, którą okazało się podnoszenie ciężarów urozmaicone rozciąganiem przedziwnych lin z nieznanymi, elastycznymi, a zarazem twardymi włóknami i podciąganiem się na wbitych w ściany klamrach, Valkar padł na swe leżysko kompletnie wyczerpany.

Drugi Dzień zaczął się od wizyty Strażnika witającego ich wczoraj w sali Metalowej Ściany, Dary Nanna. Olbrzymi mężczyzna dotknął nagiego ramienia Valkara dziwnym na wpół przezroczystym przedmiotem, rozległ się syk i chłopiec uczył zimno. Następnie Strażnik podał mu na dłoni kilka kulek mieniących się wszystkimi kolorami tęczy i zmusił go do połknięcia ich. Potem znowu nastąpiły długie godziny morderczych, trwających aż do kompletnego wyczerpania — przerywanych tylko posiłkami — treningów. Następne Dni były identyczne i Valkar straciłby rachubę czasu, gdyby nie to, że każdego ranka wydrapywał znak nad swoim łóżkiem.

Dwudziestego Trzeciego Dnia spostrzegł coś dziwnego — oto kombinezon, który otrzymał od Strażników ciasno opinał jego ciało, a przecież z początku był o wiele za luźny. „Czyżby się skurczył?” — jego stępiły mózg nie od razu przyjął do wiadomości to, że nie strój zmałał, a on rozrósł się i zmęźniał tak, iż Rada Siwych Główn zaliczyłaby go w poczet Łowców. W trzy dni potem zaobserwował coś co nie tylko go zdziwiło, ale i przeraziło. Na codziennych ćwiczeniach spotykał już tylko sześciu Eldów, mimo iż do Sar-Dai weszło ich dwunastu. Co się stało z pozostałymi? Valkar był pełen najgorszych przeczuc, ale nie miał wiele czasu by się nad tym zastanawiać. Wyciskający wszelkie siły „trening” zamieniał go z

wolna w istotę zgoła bezmyślną i całkowicie powolną Strażnikom.

Czterdziesty Szósty Dzień zaczął się jak inne, ale gdy czterej Eldowie przybyli do sali ćwiczeń, Strażnik powiedział do nich:

— Każdy z was otrzyma zen-nath, będziecie walczyć.

Valkar był pewien, iż nadszedł dzień śmierci. Ocknęła się w nim duma rodu, zapragnął stoczyć taką walkę by Wielki Łowca Eld przyjął go do swej Drużyny. Ujął w dłoń podany mu nóż żałując, że nie jest to jego własny brzeszczot. Nathrein klasnął w dłonie i z otworu naprzeciw nich wyłoniły się cztery postacie równe wzrostem władcom Sar-Dai, ale o dziwnych nieruchomych twarzach, zbrojne także tylko w ostre noże. Miętko jak kot skoczył ku najbliższemu, zamierzył się i błyskawicznie odskoczył w bok, a potem uderzył z całej siły przebiegającego obok przeciwnika — ten padł bez jęku.

— Dobrze, Yalkar — powiedział Nathrein.

Ku zdumieniu Elda, jego Milczący Przeciwnik wstał i odszedł znikając w otworze z którego przybył. Inni Eldowie jeszcze walczyli, ale widać było, iż górują nad swymi przeciwnikami. Stał i patrzył gotów przyjść z pomocą, gdyby któryś z przyjaciół był naprawdę zagrożony, gdy nagle usłyszał za sobą szybkie kroki. Odwrócił się i zobaczył nadbiegającego Nathreina. Opuścił ręce.

— Walcz! — ryknął Strażnik.

Valkar skoczył ku niemu, ale choć wyteżył cały swój refleks leżał po minucie na podłodze twarzą do niej z wykręconą na plecach ręką.

— Dobrze Yalkar, ale za wolno — usłyszał głos Nathreina.

Dzień Czterdziesty Dziewiąty.

Valkar pokonał Milczącego Przeciwnika w walce na długie miecze, choć nie przyszło mu to łatwo i raczej pomogła mu siła mięśni niż ćwiczenie szermiercze.

Dzień Pięćdziesiąty Trzeci.

Włócznia ciśnięta przez Yalkara przebiła tarczę, a potem zbroję; jej grot wyszedł plecami Przeciwnika.

Dzień Pięćdziesiąty Ósmy.

Pojedynek na podwójne topory o długim drzewcu.

Dzień Sześćdziesiąty Trzeci.

Żelazna kula na łańcuchu.

Dzień Sześćdziesiąty Dziewiąty.

Yalkar uzbrojony w krótki topór, tarczę i zen-nath stoczył walkę z Trzema Milczącymi Przeciwnikami. Strażnik Dary-Nann musiał użyć swych czarodziejskich

zdolności, gdy Eld trafiony w głowę złomkiem drzewca stracił przytomność.

W Dniu Siedemdziesiątym Drugim Nathrein zaprowadził Yalkara do sporej sali, do której światło dnia wpadało przez jedyne, wąskie i zakratowane okienko. Pozostali Strażnicy siedzieli już w niej przy długim drewnianym stole, jedli poranny posiłek. Odezwał się ten z nich, który dotąd nie przemówił ani razu — Mille val Tirach.

— Yalkarze, Synu Eldów, od dzisiaj ćwiczyc się zaczniesz w sztuce walki dotąd ci obcej. Twym orężem będzie nie miecz, a to... — dotknął lewą dłonią obręczy obejmującej jego prawe ramię i zniknął. W tej samej chwili młodzieniec poczuł jego twardą dłoń na swym prawym barku. Odwrócił się, ale Mille val Tirach siedział już z powrotem za stołem. Valkar widział Strażników w akcji, lecz ten pokaz zdumiał go tak, że zamarł z otwartymi ustami.

— Podejdź tutaj, Yalkarze — powiedział Nathrein stojący pod ścianą i obserwujący bacznie całą scenę.

Gdy Eld stanął przed nim, podał mu trzymaną w ręku srebrną obręcz.

— Załóż ją. Będziesz ćwiczyl się w walce, a gdy opanujesz wszystkie jej tajniki otrzymasz tę — tu wskazał wiszącą na ścianie obręcz o barwie starej, poczerniałej miedzi, pokrytą misterną siatką wzorów. — Ta obręcz Yalkarze jest stara, starsza niż całe plemię Eldów. Będzie twoja, ale jak mówiłem dopiero, gdy opanujesz trudną sztukę walki. Nie wolno ci jej wcześniej tknąć — bo różni się ona od tej, którą założyłeś, jak różni się drewniany dziecinny nóż od zen-natha wykutego z Łez Nieba. Zgubiłbyś siebie i stracilibyśmy Obręcz Walki.

— Mam więc zostać czarownikiem? — zapytał drżącym głosem młodzieniec.

— Tak, tak to można by nazwać. A teraz chodź ze mną. Udzielę ci pierwszej lekcji.

Wychodząc z sali Yalkar obejrzał się na Dary-Nanna. Chciał zapytać go o los swych współtowarzyszy, bo on jeden ze Strażników nie budził w nim lęku, ale Dobra Ręka pokręcił przecząco głową, jakby chciał powiedzieć: „nie pytaj, nie będzie odpowiedzi”. Yalkar opuścił głowę i poszedł posłusznie za Nathrei-nem.

Dzień Dziewięćdziesiąty Trzeci kończył się już, gdy Yalkar opanował trudną sztukę przenoszenia niewielkich przedmiotów bez użycia rąk — kufel z piwem stojący na stole przyfrunął do jego dłoni, a precyzja całego manewru była na tyle duża, że ani jedna kropla napoju nie spadła na podłogę.

— Dobrze Yalkar — powiedział sobie po cichu i wypił ze smakiem zawartość kufła. Od kilku dni ćwiczył sam, bez nadzoru Strażników, widział się z nimi tylko wtedy, gdy udało mu się opanować kolejną umiejętność posługiwania się obręczą walki. Poznawanie możliwości, jakie ona dawała było fascynujące, choć czasem Elda ogarniał dreszcz zgrozy.

Oto, na przykład jeszcze wczoraj, cynowy talerz na skutek błędu w ocenie odległości zmaterializował się do płowy zanurzony w ścianie komnaty. A gdyby to jego ciało utknęło w skale? Srebrna obręcz nie miała dostatecznej siły, by przesuwając w przestrzeni duże ciężary, ale w prawdziwej Obręczy Strażnika musiały kryć się o wiele potężniejsze demony — widział ich działanie w Kotlinie Trzech Strumieni. O nie, nie kuszyła go obiecana mu Miedziana Obręcz, bał się, że zamiast on jej — to ona jego opanuje. Strażnikom spодobało się zrobić go czarownikiem — dobrze! Lecz wiele się musi nauczyć, by bez lęku ująć w dłoń obręcz i zmusić do posłuszeństwa zaklęte w niej demony...

Popołudniem Dnia Sto Piętnastego Yalkar ćwiczył się w trudnej sztuce utrzymywania w stanie niewidzialności, demony Srebrnej Obręczy były słabe i ich władca nie mógł zniknąć na dłużej niż dwie-trzy minuty, ale i tak wrażenie było niesamowite. Młody Eld snuł się ciemnymi korytarzami twierdzy znikając i pojawiając się, jak by był duchem rycerza-banity, pogromcy Księcia. Usłyszał nagle głosy władców Sar-Dai — widocznie znalazł się u wylotu jakiegoś kanału podsłuchowego, które tak chętnie umieszczali dawni budowniczy w szlacheckich gniazdach rodowych. Strażnicy mówili w obcym języku, lecz nie był to problem dla posiadacza obręczy. Przesunął delikatnie dłonią po wyrytym na niej zaklęciu i słowa Strażników stały się dla niego zrozumiałe.

— Komandor wysłał wezwanie alarmowe do wszystkich placówek — powiedział Mille val Tirach.

— Alarm Bojowy? — to był głos Nathrein.

— Nie. Pogotowie III stopnia — znowu val Tirach. Galaktydzi muszą być blisko. Dowódca nie zbierałby Komanda bez istotnego powodu.

— Wytropili nas? — zapytał z niedowierzaniem Dary-Nann.

— Widocznie. Chociaż może to tylko patrol. Jeżeli tak, to spotkamy się z nimi na powierzchni. Gdyby było inaczej zdjąłby nas ze strażnic Niszczycielami.

— Zbierajmy się. Komandor nie lubi czekać.

— A Yalkar? — głos Dary Nanna.

— On oczywiście zostanie. Wyjaśnij mu to jakoś — Mille val Tirach był już trochę zniecierpliwiony.

Eld przestał podsłuchiwać Strażników — pomknął do swojego pokoju. Znalazł się w nim na sekundę przed Dobrą Ręką.

— Yalkarze — zaczął bez wstępów Strażnik — nasz Wódz wzywa nas do siebie. Zostaniesz tu sam pod opieką tych, których zwiesz Milczącymi Przeciwnikami.

— Kiedy wrócicie?

— Zapewne minie kilka księżyców — Strażnik umilkł. — Gdyby zaś zdarzyło się tak, że nie zjawimy się przez trzy dziesiątki księżyców, powrócisz do swojej wioski. Przedtem jednak dotkniesz figurki Khana umieszczonej w sali Narad. Odejdiesz, a Sar-Dai pochłona płomienie. Zrozumiałeś?

— Tak. To będzie ciężka walka?

Strażnik popatrzył na niego zaskoczony, a potem w jego czarnych oczach błysnęło zrozumienie. Wybuchnął gromkim śmiechem.

— Szybko się uczysz Yalkar, bardzo szybko... — Strażnik zniknął, a młodzieńcowi wydawało się, że wciąż słyszy jego cichnący śmiech. W chwilę potem odczuł jakby delikatne drżenie i dobiegł go grzmot, który przewalił się nad górami Nilghiri.

Został sam w Sar-Dai.

Yalkar siedział w dużej pogrążonej w półmroku sali jadalnej. Słońce chowało się za szczyty gór, noc skradała się szybkimi krokami. Młodzieniec myślał o obcych zwanych Galaktydami. Musieli to być potężni przeciwnicy skoro budzili obawę nawet u Strażników Gór. Zastanawiał się również nad niezrozumiałymi wyrazami, które przypadkowo udało mu się podsłuchać.

Nagle coś go zaniepokoiło. Z podwórca dobiegł dziwny hałas. Yalkar potykając się o porozstawiane sprzęty ostrożnie podszedł do okna. Na zewnątrz panował półmrok, przeraźliwie zawodził wiatr miotając śniegiem, ale widoczność była jeszcze dobra. Przy murze stała dziwna postać w złotosrebrnym stroju przypominającym zbroję i w jasnym, przezroczystym hełmie. Na torsie tajemniczej osoby gasły i zapalały się różnorodne światełka, których przybysz dotykał szybko palcami. „To chyba Obcy” — pomyślał Valkar. W tej samej chwili ruszyli ku nieznanemu Milczący Przeciwnicy. Atak był błyskawiczny. Valkar nie widział ich jeszcze w takiej akcji. Lecz trafili na godnego przeciwnika. Nim pokonali połowę dystansu jaki ich dzielił od intruza, w jego ręce pojawił się podłużny przedmiot z którego rzygnęła burza białego ognia. Z Milczących Przeciwników zostały tylko dymiące szczątki. Ułamek sekundy później Valkar dostrzegł, że przybysz podnosi długi przedmiot do góry. Młodzieniec odruchowo schował się za ścianę. Błysk, który teraz nastąpił oślepił Yalkara. Gdy sprzed oczu ustąpiły różnokolorowe kręgi i młodzieniec przejrzał, okazało się, iż zamiast ostrołukowego okna, w ścianie ział otwór o nieregularnych poszarpanych obrzeżach. Yalkar rzucił się do ucieczki w mroczne korytarze warowni. Wydało mu się, że słyszy za sobą tupot nóg przeciwnika, ale było to tylko złudzenie. „Co robić?” — myśli tłukły mu się w głowie jak oszalałe.

Zatrzymał się. Uspokoił oddech, zaczął nasłuchiwać. Schował się za półotwartymi

drzwiami. Tym razem słuch go nie mylił, odgłos kroków odbijający się od pustych ścian zbliżał się. W końcu ujrzał swojego przeciwnika. W korytarzu stał człowiek taki sam jak on w niebieskim, jednoczęściowym kombinezonie, wysokich zapinanych na klamry butach. Niesforna grzywa białych włosów opadała mu na ramiona. Niebieskie, zimne jak okruchy lodu oczy, badały uważnie każdy zakamarek korytarza. Yalkar czuł się jak szczur w pułapce. Ze swoim nożem jako jedynym uzbrojeniem nic nie mógł poradzić... chociaż? Przybysz stał pod olbrzymim dębowym świecznikiem wiszącym na grubych łańcuchach. Czasy, w których płonęły tam świece dawno już minęły. Yalkar przewyciężając strach przypomniał sobie o obręczy ściskającej mu lewe ramię. Skoncentrował uwagę na łańcuchu, po chwili olbrzymie dębowe koło runęło z hukiem na dół. Obcy błyskawicznie uskokzył w bok przytulając się do ściany. Jednocześnie uniósł broń. Biały promień przeciął ciemność. Chybił. Yalkar nie zdążył się jednak uchylić i potężny kawał odłupanej wybuchem skały obtarł mu czoło. Krew załała Yalkarowi oczy. Pędził jak oszalały przed siebie wycierając ją rękawem. W końcu zabrakło mu sił. Oparł się plecami o ścianę dysząc ciężko. Pot zmieszany z krwią ciekł mu strugami po twarzy. „Muszę się opanować” — myślał, — „jeżeli strach zawładnie mą duszą, będę zgubiony. Jestem w końcu Eldem, a Wielki Łowca patrzy na mnie i ocenia czy będę miał prawo po śmierci zasiąść z nim przy jednym stole”.

Nasłuchiwał. Przeciwnik był jeszcze daleko, ale zbliżał się tak nieuchronnie jak nadchodzi śmierć. Yalkar rozejrzał się uważnie dookoła, był w izbie, w której na ścianie wisiała obręcz poczerniała ze starości. To jego jedyny ratunek. Przypomniał sobie słowa Nathreina. Machnął lekceważąco ręką, śmierć taka czy inna to wszystko jedno. Założył obręcz. Strach, jeżeli jeszcze gnieździł się w zakamarkach duszy, ustąpił zimnemu spokojowi. Rana na czole zasklepiła się błyskawicznie. Yalkar myślał teraz jasno i precyzyjnie. Ruszył przeciwnikowi na spotkanie. Wdrapał się po schodkach na galeryjkę, która biegła u góry korytarza. W rękę ścisnął swój zen-nath, wchodząc zrywał nim pajęczyny pokrywające obficie stare mury. Yalkar obserwował zbliżającego się przybysza. Trzymał on w rękę broń i rozglądał się uważnie dookoła. Młodzieniec dotknął obręczy. Nakazami myśli przeniósł swoje niewidzialne już teraz ciało na dół, na galeryjce pozostało jego złudne odbicie. Stanąwszy za przeciwnikiem mógł go ugodzić bez trudności w plecy, ale Yalkar chciał pokonać wroga w równej walce. Wiedział, że obręcz daje mu nieobliczalne możliwości. Młodzieniec krzyknął i skulił się z wrażenia — to nie on krzyczał, ale jego zjawa na galeryjce. Obcy błyskawicznie strzelił w tym kierunku. Yalkar przybrał normalną postać i ugodził wroga nożem w rękę trzymającą groźną i tajemniczą broń. Trysnęła krew. Obcy gwałtownie się obrócił i kantem drugiej dłoni uderzył w prawy nadgarstek Yalkara. Cios był

tak potężny, że ręka zdrętwiała i zen-nath wymknął się z zeszywniałych palców. Obcy rzucił się na chłopca i chwycił go za gardło. Przeciwnik był trochę wyższy, ale i szczuplejszy. Jego ręce miały siłę żelaznych kleszczy. Walczący przewrócili się na ziemię klnąc w swoich językach. Obcy za wszelką cenę starał się zerwać obręcz Yalkara. Chłopak próbował podkurczyć nogi, lecz przybysz mimo szczupłej budowy ciała był zadziwiająco ciężki. W końcu młodzieńcowi udało się złapać obcego za włosy i oderwać jego rękę od własnego gardła. Obcy cały czas szarpał ramię z obręczą tak jakby chciał je wyrwać. Wreszcie Yalkar uwolnił nogi, a te jak sprężyny odepchnęły napastnika na bezpieczną odległość. Obaj walczący wstali równocześnie. Młody Eld był tak podniecony walką, że zapomniał o obręczy. Kopnął leżącą na podłodze broń obcego daleko od siebie.

Intruz patrzył na niego wściekłymi, nic nie rozumiejącymi oczyma, w końcu pojął: ma przed sobą nowicjusza. Chłopiec rzucił się na przeciwnika. Ten złapał go za rękę i wykręcił mu ją, jednocześnie podstawiając nogę. Yalkar wywinął w powietrzu potężnego kozła, ale spadając stanął na nogi. Znowu się szepili. Obcy ponownie chciał zdusić Yalkara, który był już u kresu wytrzymałości, I wtedy... ciało chłopca ogarnął spokój, a on dotknąwszy obręczy skoncentrował się maksymalnie. Olbrzymia siła oderwała przybysza od niego. Obcy wisiał teraz w powietrzu i bezradnie wymachiwał rękoma i nogami. Po raz pierwszy w jego oczach pojawił się strach. Chłopiec skierował na obcego całą nienawiść jaka się w nim nagromadziła. Uderzenie było potworne, człowiek rozpadł się na kawałki, krew bryznęła na wszystkie strony. Straszliwe szczątki wypadły przez okno na dziedziniec.

Yalkar usiadł, oparł się plecami o ścianę. Był cały obolały, zmęczony prawie do nieprzytomności. Wtem całą warownię wypełnił potężny huk. Był pewny, że przybywają nowi najeźdźcy. Wyobraził sobie komnatę z posągiem Khana i w mgnieniu oka znalazł się w niej. Nie, obcy nie będą panami Sar-Dai. Zdjął z ramienia obręcz, chciał umrzeć jak łowca Eld. Jeszcze się wahał, ale w końcu sięgnął do figurki...

— Yalkarze, nie! — głos Nathreina wstrzymał jego dłoń.

Strażnicy Gór stali w drzwiach komnaty, na ich twarzach malowało się zmęczenie i smutek. „Tylko Nathrein i Mille val Tirach” — pomyślał — „co się stało z Dary Nannem?”

— Jego droga już się skończyła, obręcz zaś czeka na następcę — odparł na niezadane pytanie Nathrein.

— Myślę, że czas, aby Yalkar przeszedł ostatecznie wtajemniczenie — poznał prawdę o Strażnikach — powiedział Mille val Tirach i dotknął lewej skroni chłopca. Dłoń Strażnika początkowo chłodna stawała się coraz cieplejsza; wreszcie nieomal parzyła. W chwili, gdy było to już prawie nieznośne świat zawirował przed oczyma Yalkara. Zaczł widzieć jakieś

obrazy — początkowo nieostre; jednocześnie słyszał głos Strażnika.

— Na wiele pokoleń przed powstaniem rodu Eldów, Ziemia była zjednoczona, a ludzie równi bogom prowadzili wyniszczającą wojnę w przestrzeni. Ziemia została pokonana...

Obraz ukazał coś czego Valkar nie potrafił nazwać: olbrzymie budowle przewyższające znacznie fortecę, mrowiących się ludzi strojnych jakby wszyscy należeli do świty księżęcej, przedziwne pojazdy, a potem jakieś przedmioty unoszące się na kolumnach ognia prosto w niebo.

— ... i prawie nic nie pozostało ze stworzonej na niej cywilizacji, marną pociechą było to, iż naszym Wrogom nie powiodło się lepiej. Do wojny bowiem wtrącili się ci, których zwiemy Galaktydami.

Obraz zadrgał i zmienił się, to była ta sama okolica, ale tym razem wyglądała jak po walce Demonów Strzegących Krainy Spoczynku z Łowcą Eldem. Dymy snuły się nad pokrytą kraterami i gruzem ziemią, niebo przybrało okropną czarno-pomarańczową barwę.

— Zniszczyli potęgą naszych przeciwników, ale nie poprzestali na tym — ścigali resztki Sił Kosmicznych Ziemi jak ściga się wściekłe psy.

Przed oczyma Yalkara rozpostarła się ponura panorama Kosmosu. Widział gwałtowne błyski, przeskoki jakichś lśniących obiektów i wiedział, że patrzy na bitwę bogów.

— To co oglądasz, to ostatnie starcie naszego Komanda z flotą Galakty-dów. Odbyło się ono 600 zim temu. Nie, nie jesteśmy aż tak długowieczni, ale znamy sposoby by „zawieszać” życie w stanie podobnym do snu. Skrwawieni — ledwie trzecia część naszego oddziału uszła z tej bitwy — umknęliśmy, by po latach wrócić ponownie na Ziemię. Poprzysięgliśmy zemstę Galaktydom i od wieków szykujemy się do niej. Sprzętu mamy dość, ale rozpaczliwie brakuje nam ludzi, dlatego też rozproszyliśmy się po całej Ziemi i rekrutujemy najlepszych z najlepszych do naszego oddziału. Jeszcze wielu potrzeba byśmy mogli ruszyć do walki... Tak Yalkarze, strzeżemy nie tylko gór Nilghiri, pod naszą opieką znajduje się cała Ziemia. Galaktydzi chcieliby utrzymać ją na zawsze w ciemności i ruinach, zrobimy wszystko by udaremnić te zamiary. Teraz, gdy zniszczyliśmy ich patrol, nasz czas skurczył się i zmuszeni jesteśmy wcielić do szeregów nawet takich młodzieńców jak ty...

Nathrein podał mu Obręcz — Valkar w milczeniu wziął ją w dłonie, wahał się, lecz po chwili założył ją na prawe ramię. Ten prosty gest uczynił z niego członka Komanda szykującego się do walki na śmierć i życie z potężniejszymi od bogów z rodowych mitów Galaktydami. Nie to jednak najbardziej poruszyło młodzieńca, a fakt jaki dopiero teraz dotarł do jego świadomości — oto stał się jednym z tych, których ród Elda otaczał pełnym trwogi

podziwem — Strażnikiem Gór Nilghiri.



KRÓLOWA ALIMOR

W jedynej izbie szałas zebrał się wszyscy ludzie Starszego. Było duszno, a dym z rozpalonego pośrodku pomieszczenia ogniska gryzł w oczy, lecz pasterze z radością grzali ręce i suszyli burki. Na dworze szalała burza i ciasny, brudny szałas zdawał się im być cudowną oazą ciepła i spokoju. Starszy niepokoił się trochę o bydło, lecz tak naprawdę jego stadom nic nie groziło. Spędzone do zagród, mogły śmiało pozostać bez opieki ludzi aż do rana. Koty Grakh strzegły je tak od napaści, jak i od paniki.

— Wszyscy dostali jedzenie? — spytał Starszy Matkę Losk dzielącą wieczerzę.

— Tak. Tylko Siła Gór jeszcze nie przyszedł. Starszy zaśmiał się:

— Coś takiego! On nigdy nie spóźnia się na spotkanie z pełnym garnkiem...

Drzwi szałas uchyliły się i wdarł się przez nie zimny podmuch wichury. Stanął w nich olbrzymi mężczyzna o ciemno blond włosach i rumianej, okrągłej twarzy. Z jego burki ciekły strumienie wody.

— Matko! — krzyknął zagłuszając gwar rozmów. — Jestem głodny jak wilk.

Za jego plecami drzwi zamknął nieduży człowieczek, ubrany w strój żebraczy, lecz ściskający w ręku lutnię.

— Przeprowadziłem gościa — przypomniał sobie Siła Gór. — Mówi, iż jest wędrownym bardem.

— Dobrze zrobiłeś synu. W taki czas wszyscy uczciwi ludzie mogą liczyć na naszą gościnę — pochwalił Starszy.

Człowieczek zbliżył się do seniora, by złożyć mu pokłon i podziękować za łaskę. Płomienie ogniska odbiły się krwawym blaskiem na złotym gryfie trzymanego przezeń instrumentu.

— Złota Lutnia! — wykrzyknął zdumiony starzec. Ludzie umilkli. Legendarny Bard Pogranicza był wśród nich.

Starzec posadził go obok siebie i odstąpił mu swą miskę, narzuciwszy wpierw na ramiona barda suchy koc z ciepłej owczej wełny. Po posiłku zmęczone oczy przybysza nabrały blasku. Ujął w dłonie czarodziejską lutnię.

Przez dwie godziny zadymiony szałas pasterzy bydła był świadkiem czegoś niebywałego. Bard śpiewem swym przenosił wszystkich w czasie i przestrzeni, o setki lat i tysiące mil. Przypominał dni dawne, czasy chwały i blasku. Ci ciemni i dzicy górale nie rozumieli połowy z tego, co wyśpiewywał. A jednak serca ich drżały z dumy, gdy słyszeli

opowieści o potędze przodków, warczeli i chwyтали za ostre, krzywe noże, kiedy w pieśni pojawili się Wrogowie, a niejeden ocierał łzy, gdy pieśń rozbrzmiewała skargą o końcu wojny i ciężkiej karze nałożonej przez bezlitosnych Sędziów na wszystkie ludy Ziemi. Ostatnią balladę Bard mrucał już tylko dla siebie — omotani czarem jego kunsztu pasterze posnęli, a w snach jeszcze raz przeżywali Przedwieczne Opowieści. Jeden tylko Siła Gór — wsłuchiwał się w pieśń „O Srebrnym Blasku”. Mówiła ona o zielonej dolinie, o mieście niegdyś wspaniałym i o skarbie stojącym na jego największym, zakazanym placu.

— ... niejeden śmiałek zjawił się tam, by zginąć u bogactwa bram... — urwał swą opowieść Bard i spojrział spod ciężkich powiek na Siłę Gór. — W tym miejscu zawsze kończę — powiedział szeptem. — Chyba, że słucha mnie ktoś o nieulękłym sercu i niezłomnej woli. Czy mam śpiewać dalej? Zastanów się, bo być może wstąpisz na ścieżkę, z której nie ma powrotu.

— Śpiewaj, panie.

I Bard, ochrypłym ze zmęczenia głosem, zaśpiewał dalszy ciąg ballady. Słowa jej obiecywały wiele, tak wiele, że Siła Gór zakręciło się w głowie — pod Srebrnym Blaskiem kryć się miało bogactwo, sława i miłość, a ballada wspominała niejasno także o tym, iż pogromca Srebrnego Blasku może zbawić wszystkie ludy Ziemi i zmazać ich przeszłe winy. Jednak mógł to sprawić tylko człowiek niezłomny. Tchórzliwych czekała tam śmierć i zapomnienie ...

— ... a imię ich zaginie w dali... — Bard skończył pieśń. Odłożył lutnię i dodał zmęczonym głosem:

— Pamiętaj moje przestrogi — bądź nieustraszony. A teraz dość, śpijmy. Bard zamknął oczy, zasnął i tylko deszcz wygrywał swą monotonną melodię na deskach stropu.

Ranek wstał mokry, ale słoneczny i pełen tęczy. Szczyty gór lśniły wokoło w promieniach słońca, jak ostrza włóczy. Pasterze z sercami przepelnionymi radością, poszli do zagród zabierając ze sobą śniadania, by zjeść je na halach. Nie zwracali uwagi na to, że Bard zniknął — cóż on zawsze przychodził i odchodził niespodziewanie. Starszego jednak zaniepokoiło to, iż wraz z Bardem przepadł Siła Gór. Gdy wieczorem jego ludzie powracali z pastwisk, a wśród nich nie było olbrzyma, podejrzenia zmieniły się w pewność.

— On go wybrał, Sever — zwrócił się Starszy do swego najbardziej doświadczonego pasterza. Ten skinął głową i powiedział smutnym głosem:

— Zdradził mu tajemnicę, której trudno się oprzeć. Nic go już nie uratuje. Jest silny ciałem i wystarczająco słaby na umyśle, by nie pokonał go Strach w Mieście Zielonej Doliny, ale...

— Właśnie, co tu dużo mówić głupota, która go pierwej ocali, potem zgubi na pewno. Mądrzejsi od nas stali się tam Bezimiennymi...

W czasie, gdy starcy rozmawiali o Siłę Gór, on był już daleko. Całodzienny marsz nie zmęczył go, ale coraz dotkliwiej doskwierał mu głód. Mimo to szedł dalej. Dzień dobiegał końca, gdy dotarł do karczmy „Pod Złotą Koroną”. Stała ona na skrzyżowaniu traktów i dzięki temu, choć wiele mil dzieliło ją od najbliższej osady, prosperowała znakomicie. Dębowe wierzeje były już zamknięte, ale gdy Siła Góra uderzył w nie kilkakrotnie pięścią, otworzyły się umieszczone obok nich wąskie drzwiczki. Stał w nich niski, żylasty człowiek o ponurej, naznaczonej bliznami twarzy. W lewej ręce trzymał łuczywo, prawą miał wspartą o zatknięty za pas ciężki topór. Góral w milczeniu sięgnął do swojego worka. W migotliwym świetle zabłysnął srebrny grosz. Odźwierny skinął głową i zrobił miejsce w drzwiach na tyle, aby Siła Góra mógł się przedostać do środka. Zaryglowawszy drzwiczki i zabezpieczywszy je dodatkowo żelaznymi sztabami, odźwierny poprowadził go do głównej komnaty. Siedziało, leżało pod stołami — piwo „Pod Złotą Koroną” było bardzo mocne — bądź też stało tu, kilkudziesięciu ludzi. Byli to rycerze, kupcy, wędrowni kuglarze, ale brakowało zwykłych w takich gościńcach łotrzyków — widocznie gospodarz dbał o renomę karczmy. Większość miejsc była zajęta i Siła Góra rozglądał się zastanawiając do kogo by się przysiąść, gdy zauważył w kącie trzy puste stoły. Otaczały one czwarty — zajęty przez kilku ludzi w mundurach gwardii Jego Wysokości Księcia na Rotenberg. Siła Góra podszedł do wolnego stołu, rzucił worek pod ławę i usiadł na niej ciężko. Jeden z żołnierzy uniósł głowę i zmierzył wzrokiem górala, który właśnie gromko przyzywał podkuchenną. Uspokojony pochylił się nad baraniną udźcem.

— Panienko, polewkę piwną! Tylko żeby było w niej dużo sera! — zawołał Siła Góra.

Już po chwili spożywał gorącą strawę. Mimo, że pochłonięty był nią prawie całkowicie, nie uszło jego uwadze, iż pomiędzy żołnierzami siedzi jakiś szczupły mężczyzna w poszarpanej odzieży z prawą ręką przykutą do lewego nadgarstka najroślejszego strażnika. Lewą leniwie grzebał w misie z mięsem. „Więzień” — pomyślał bez zbytniego zainteresowania i zabrał się do polewki oraz dzbana z winem, jaki bez pytania postawiła przed nim służka.

W jakiś kwadrans potem, gdy Siła Góra kończył jedzenie, do karczmy wszedł jeszcze jeden podróżny. Podobnie jak góral zawahał się nad wyborem miejsca, a potem zauważył wolne stoły. Zbliżył się do nich, i — w pełgającym świetle pochodni — spostrzegł żołnierzy. Zatrzymał się na sekundę, zrobił ruch, jakby chciał odejść, a potem usiadł tyłem do strażników naciągając na twarz kaptur swego długiego, brunatnego płaszcza.

Najedzony Siła Gór myślał sennie nad tym, gdzie by tu znaleźć jakiś kącik do spania i nie dostrzegł nawet, że dowódca żołnierzy wstał nagle i podszedł do nieznanego mężczyzny czekającego na podkuchenną. Wpatrywał się w niego chwilę, a potem jednym szarpnięciem zerwał mu z głowy kaptur.

— Tuś mi bratku — powiedział chwytając za miecz.

Nieznamy uniósł głowę i patrząc sierżantowi prosto w oczy stwierdził: i- — Nie znam cię człowieku.

— Ale ja cię znam — ryknął żołnierz. — An Thargan, banita!

W karczmie zapadła śmiertelna cisza, którą przerwał spokojny, jakby smutny głos obcego.

— Sam tego chciałeś durniu.

I nim sierżant zdołał się zorientować, ciężki stół zwałił się na niego i przygniótł do podłogi. An Thargan spokojnym krokiem skierował się ku wyjściu. Żołnierze oprzytomnieli i z wraskiem wściekłości rzucili się ku niemu. Rycerz zrobił półobrót i jednym cięciem, wydobytego spod płaszcza miecza, ściał głowę najbliższemu i otworzył krwawą ranę w piersiach drugiego.

Na ten widok konwojent siedzący dotąd za stołem, wydobył zza pasa topór, przeciął nim łańcuch łączący go z więźniem i skoczył na pomoc towarzyszom. Siła Gór, któremu żołnierze przebiegając wytrącili na podłogę dzban z reszką wina, zupełnie niechcący (tak potem opowiadał) podstawił nogę konwojentowi, a gdy ten zerwał się na nogi i zamierzył na olbrzyma toporem, Siła Gór uderzył ze stołu ciężką, dębową deskę i jednym uderzeniem zgruchotał kark przeciwnika.

Trzech pozostałych żołnierzy walczyło na śmierć i życie z rycerzem znacznie przewyższającym ich w kunszcie szermierczym. Kupcy i inni ludzie niższego stanu przypadli do ziemi pod ścianami trzęsąc się ze strachu. Trzech możnych panów, siedzących dotąd spokojnie, wstało dobywając mieczy. Wyraźne jednak było ich wahanie, po której stronie się opowiedzieć. Niepewność tę przerwał okrzyk jednego z żołnierzy:

— Poddani księcia Rotenberg do mnie!

Miecze rycerzy błysnęły i dwóch z nich wpadło na an Thargana, trzeci zastąpił drogę Siłi Gór. Nie zdążył unieść uzbrojonej ręki. Padł trafiony w twarz łańcuchem, który do niedawna krępował więźnia. Korzystając z niespodziewanej pomocy góral podniósł nieprzytomnego i cisnął nim o ścianę karczmy. Część pochodni wypadła z uchwytów w jakich była obsadzona i zgasła. Zaraz też zrobiło się zupełnie ciemno, bo gospodarz chcąc przerwać walkę, zgasił pozostałe pochodnie.

Siła Gór na czworakach zmierzał do wyjścia. Miał doświadczenie w tego rodzaju bójkach i wiedział, że po ciemku nawet byle cherlak może mu wsadzić nóż pod żebro. Drzwiczki zastał zamknięte, ale wystarczyło jedno uderzenie, by wyleciały z zawiasów.

Zarzucił worek na plecy i zastanowił się nad wyborem drogi — marzenie o nocy pod dachem rozwiało się. Ktoś nagle położył mu rękę na ramieniu. W ostatnim momencie udało się Siłę Gór wstrzymać prawą pięść od wykonania miażdżącego ciosu. Za nim stał szczupły młodzieniec z ręką oznaczoną resztkami łańcucha.

— Pozwól mi się przyłączyć — powiedział, a Siła Gór wspomniawszy, w jaki sposób więzień unieszkodliwił atakującego go rycerza, zgodził się bez słowa. Ruszali właśnie, gdy z gospody ktoś wybiegł i zobaczywszy ich zamierzył się mieczem. Siła Gór odskoczył. Więzień nie drgnął nawet, powiedział tylko:

— Panie, nie jesteśmy twymi wrogami!

Miecz skrył się pod brunatnym płaszczem i banita stwierdził niemal wesołym głosem:

— A, to wy... Zabierajmy się stąd lepiej, póki się nie zorientują.

Pobiegli drogą w ciemność. Na czoło wysunął się Siła Gór — oczy miał jak kot. Biegli tak ze trzy mile, aż więzień padł na zimne głązy i z trudem łapał oddech. Siła Gór zarzucił go sobie na plecy i pobiegli dalej. Dawno już zbczyli z drogi, wreszcie góral zatrzymał się, nie wiedząc gdzie skierować swe kroki.

— Panie — zwrócił się do an Thargana, — zgubiliśmy się.

— Mam nadzieję, że pogoń także pobłądziła — odparł banita.

— Jesteśmy wśród Czarnych Wzgórz — powiedział więzień. — Lepiej poczekajmy do rana, bo inaczej moglibyśmy niechcący natknąć się na Przekłete Miasto Zielonej Doliny.

Co?! — krzyknął Siła Gór. — Przecież ja szukam tego miejsca.

— Chcesz popełnić samobójstwo, człowieku? — zapytał rycerz.

— Co do mnie, to nie zamierzam oglądać Srebrnego Blasku — to właśnie tam miano mnie stracić — stwierdził więzień.

— Stracić?

— Tak panie. Jestem Retnian, nadworny poeta księcia Rotenberg. Popadłem w niełaskę, oficjalnie za pamflet, jaki napisałem, a naprawdę dlatego, że za dużo wiedziałem o nieprawościach Jego Wysokości. Ludzie, których tak sprawnie zarabaliście, mieli mnie wepchnąć do Strefy Śmierci Srebrnego Blasku. Nie musieliby się wtedy troszczyć o pogrzeb, bo wszystko co tam się znajdzie, znika.

— Retnian, przyjacielu. Jesteś w tej samej sytuacji co ja — tyle tylko, że ja pochodzę z możliwego rodu i nie odważyli się mnie zabić w tak bezczelny sposób, w jaki chcieli usunąć

ciebie. Skorzystali jednak z pierwszej okazji, by ogłosić mnie banitą i zaczęli na mnie polować, podobno wyznaczono nawet nagrodę za moją głowę...

— Cicho! — przerwał Siła Gór, a gdy umilkli, wiatr przyniósł daleki odgłos naszczekiwania.

— Psy! Do licha, zapewne twoi konwojenci skumali się z pogonią, która rnnie prześladowuje — stwierdził an Thargan. Biegnijmy, może zgubią nasz ślad.

Tym razem był to prawdziwy bieg o życie. Sądząc z szybkości, z jaką zbliżali się prześladowcy, pościg dysponował końmi. Uciekinierzy zdecydowali się na pokonanie stromego zbocza doliny — tylko tak mogli wyrównać szansę. Szczyt wzgórza osiągnęli wspinając się na czworakach, a potem bez chwili zwłoki zaczęli zsuwać się w dół przeciwległym zboczem. Tam upadli ciężko dysząc. Pierwszy wstał chwiejąc się na nogach an Thargan. Coś musiało go mocno zaniepokoić, bo oparł dłoń na rękojeści miecza, a potem jednym szarpnięciem za wybrudzony ziemią kubrak, poderwał poetę na nogi.

— Retnian! Rozejrzyj się, co ci to przypomina? — głos rycerza był pełen napięcia.

Retnian przestał łapać spazmatycznie oddech, obejrzał się, a potem krzyknął przerażony:

— Nie?!

— Co się stało? — Siła Gór chwycił kamień i szukał wzrokiem w ciemności wroga.

— Jesteśmy w Mieście Zielonej Doliny — powiedział drżącym głosem Retnian.

— Nareszcie! — ucieszył się góral i klepnął zdumionego poetę w ramię. Okrzyk ten otrzeźwił nieco Retniana i rycerza.

— Musimy się stąd wydostać. O ile pamiętam — mówił z namysłem an Thargan — ta dolina jest ślepa, a miasto leży pośrodku niej. To znaczy, że musimy przejść przez nie całe, żeby dostać się do wylotu doliny — stwierdził.

— Lepiej ruszajmy natychmiast — zdecydował.

Po kilkuset krokach znaleźli się wśród ruin przedmieścia, bo miasto — rzecz dziwna — nie było opasane murami obronnymi. Przemykali na wpół zasypanymi uliczkami, z lękiem spoglądając w czarne oczodoły okien zrujnowanych domostw. Raz i drugi przeleciały nad nimi ogromne nietoperze, a Retnianowi wydawało się nawet, że w ciemnych zakątkach błysnęły czyjeś oczy. Dotarli bez przeszkód prawie do śródmieścia. Ulica, którą maszerowali czujnie spoglądając na boki, wydawała się mniej zapuszczona, kamienie domów lśniły jakby oświetlone poświatą księżyca w pełni. Pierwszy zwrócił na to uwagę Retnian.

— Jesteśmy już niedaleko Srebrnego Blasku.

— Tak, lepiej będzie gdy nadłożymy trochę drogi i obejdziemy Plac Centralny.

— O nie — zaprotestował Siła Gór. — Ja idę wprost do Srebrnego Blasku. Retnian próbował tłumaczyć, przekonywać, ale na nic to się zdało — wszelkie argumenty odbijały się od oślego uporu górala.

— Chodźmy więc — powiedział an Thargan.

— Jak to..., więc mamy pozwolić, żeby tak głupio zginął?! — zaprotestował Retnian.

— Gdybyśmy mieli dość czasu i gdyby nasz osiłek był choć trochę wątlej zbudowany, powstrzymałbym go — odparł rycerz — ale czasu nie ma i obawiam się, iż nie stałoby mi siły, by to uczynić bez rozlewu krwi. Zresztą górale zawsze byli wolnymi ludźmi i to bardzo upartymi.

Retnian chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz machnął tylko z rezygnacją ręką. An Thargan uściśnął dłoń górala i odchodząc zapytał:

— Jak ci na imię niedźwiedziu, zdradź je, a Retnian sprawi, że nie zaginie w dali.

— Wołają mnie Siła Gór — stwierdził góral, a potem powiedział zdumiony: — Panie, czyżbyś i ty spotkał Barda z Pogranicza?

— Tak przyjacielu, ale ja nie... — rycerz urwał i odszedł. Za nim, oglądając się, podążył poeta. Siła Gór szedł środkiem ulicy, stapał pewnie, przepełniała go euforia — tak prędko odnalazł Srebrny Blask! Wreszcie stanął na placu i musiał osłonić oczy olśniony światłem. Pośrodku wolnej przestrzeni na wysokim postumencie stał dziwny posąg w kształcie kuli — zdawało się utoczonej ze szczerzego srebra. Wokół niego na rzut kamieniem rozpościerała się kopała blasku, jakby utkana z księżycowego lśnienia. Krok za krokiem Siła Gór zbliżał się do granicy życia i śmierci. Przez sekundę zawahał się, wspomniawszy licznych śmiałków, którzy przed nim próbowali spełnić żądania i nakaz Barda, ale potem serce przepełniła mu radość — stanie się bogatszy niż sam Książę. Ruszył nie bacząc już na nic. I wtedy usłyszał za sobą tupot nóg, ciężkie, zdyszane oddechy. Odwrócił się, zobaczył an Thargana i Retniana biegnących ostatkiem sił.

— Łucznicy... zasadzka... są tuż za nami — dyszał Retnian. Na potwierdzenie jego słów, zza budynków świsnęły strzały.

— Za mną — ryknął Siła Gór i skokiem godnym kozicy wpadł w strefę Srebrnego Blasku. Czterostopowa strzała ugodziła an Thargana w plecy, rozdarła mu płaszcz, ale zatrzymała się na kolczudze. Rycerz odwrócił się twarzą do wrogów, uniósł prawą, zaciśniętą pięść, potem śmiejąc się ponuro schwycił kulącego się ze strachu Retniana za kołnierz i wszedł w krąg śmierci.

Pierwszy ocknął się Retnian, otworzył oczy i natychmiast je zamknął porażony strachem. Dopiero po paru sekundach odważył się ponownie je otworzyć. Leżał na plecach, w

jakimś dziwnym, srebrnym pomieszczeniu, sklepionym na kształt dzwonu. Było jasno choć światło nie padało z żadnego określonego punktu. Samo powietrze zdawało się wypromieniowywać ten blask. Przerazenie minęło, pozostał tylko głęboki niepokój. Żył — to prawda, lecz ostatecznie co pamiętał, to swój rozpaczliwy skok do wnętrza strefy śmierci. Wstał. Obok niego leżeli an Thargan i Siła Gór — oddychali, a więc i oni ocaleli, choć byli nieprzytomni. Podeszedł do srebrnej ściany chcąc jej dotknąć i nagle jego oczy zostały oślepione jasnym światłem. Wyrwał mu się okrzyk strachu. Był na zewnątrz, stał na wysokim postumencie, a wokół niego rozciągał się pusty, wyłożony kamiennymi płytami plac. Dalej — na strzelenie z łuku, rysowały się kontury domów. Zrobił krok do tyłu i znowu znalazł się w srebrnym pomieszczeniu.

An Thargan właśnie usiłował wstać, Retnian podał mu rękę, rycerz wsparł się na niej ciężko.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— Chyba ciągle w Mieście Zielonej Doliny — odparł poeta i przyklęknął obok Siły Gór. Po paru chwilach góral otworzył oczy, a potem wstał tak lekko, jakby spędził noc w swym szałasie. Przekroczyli granicę srebrnej jasności, by spojrzeć na to o czym opowiedział Retnian. Siła Gór sokolimi oczyma przyglądał się bacznie okolicy.

— Nie — to nie jest to samo miasto.

— On ma rację — powiedział an Thargan. — Domy choć zniszczone nie są ruinami i w ogóle sprawiają dziwne wrażenie.

— Uwaga! — okrzyk Retniana zabrzmiał, jak jęk pękającej cięciwy. Spojrzeli we wskazanym przez niego kierunku; zapatrzwszy się na odległe budynki, nie dostrzegli zbrojnego oddziału, który był już bardzo blisko.

— Mają nas — stwierdził an Thargan i uchwycił rękojeść miecza.

— To nie są znaki Księcia — powiedział nagle Siła Gór. Rzeczywiście zbliżający się wojownicy — spory oddział liczący ponad stu

ludzi — mieli na sobie długie, białe płaszcze, spod których od czasu do czasu lśniły zbroje sporządzone z metalowych, zachodzących na siebie łusek. Hełmy mieli wysokie, z metalowymi grzebieniami i szeroką osłoną nosa. Na okrągłych tarczach widniała krwista błyskawica na niebieskim tle. Podeszli blisko. Tak blisko, że można było rozróżnić ich twarze. Były posępne, dzikie, ale nie wrogie, a nawet gdyby przypatrzeć się uważniej można było odkryć na nich ślady jakiegoś dziwnego wzruszenia. Dowódca oddziału podeszedł pod sam obelisk i powiedział donośnym głosem:

— Witajcie Przybysze z Tamtego Świata. Chodźcie z nami. Królowa Alimor czeka

na Was.

An Thargan, Retnian i Siła Gór popatrzyli po sobie — ci ludzie nie przyszli ich zabić. To dawało szansę przeżycia. Zeskoczyli z obelisku. Żołnierze otoczyli ich, lecz tak jak otacza się ochraniających dostojników, a nie więźniów. Ruszyli, a żaden z białych płaszczy — tak ich ochrzcił Siła Gór — nie wypowiedział już żadnego słowa.

— Słyszałeś o państwie zwanym Alimor? — spytał szeptem an Thargana Retnian.
Ten pokręcił głową.

— Nie. Ale powiedz mi panie, jak to się dzieje, że ich rozumiemy? Przecież mówią w obcym języku.

— Rzeczywiście... — an Thargan zdumiony przystanął na sekundę.

A potem poszedł dalej podejrzliwie przyglądając się milczącym żołnierzom. Tylko Siła Gór nie miał wątpliwości. Szedł po obiecaną przez Barda nagrodę. Ulice, którymi przechodzili, były opustoszałe. Budynki miejscami zrujnowane. Alimor — czymkolwiek miało być nie wyglądało na krainę mlekiem i miodem płynącą. Po kilkunastu minutach dotarli do bramy zamku, była otwarta, strzegli jej rycerze ubrani identycznie jak eskorta. Oficer poprowadził ich w głąb olbrzymiej budowli. Szli korytarzami, których surowość (były pozbawione wszelkich ozdób) i budzące się w nich echo sprawiały wrażenie, iż znaleźli się w ponurej twierdzy, a nie w zamku królewskim. Stanęli przed drzwiami, u których na warcie stali strażnicy równi niemal wzrostem z Siłą Gór. Na znak oficera uchylili wierzeje. Ich przewodnik wskazał gestem, by weszli. Gdy przekroczyli próg, echo wiernie im dotąd towarzyszące zamarło, wstąpili na czerwony, włochaty chodnik. Sala, w której się znaleźli, była olbrzymia i pusta. Tak im się w pierwszej chwili wydawało. Szli powoli chodnikiem i niepewnie rozglądali się wkoło.

— Knechci kryją się za kolumnami — szepnął Siła Gór an Tharganowi. Ten skinął głową.

— Widzę ... ale i oto władczyni tej krainy.

Rzeczywiście, to co wzięli z dala za posąg — postać kobiety wyrzeźbionej w biało-złotym marmurze — okazało się z bliska żywym człowiekiem. Królową. Zbliżyli się jeszcze kilka kroków, a potem za przykładem an Thargana przyklęknęli na prawe kolano i pochylili głowy w milczącym pokłonie. Siła Gór, który nie kłaniał się nigdy i nikomu, tym razem zgiął swój twardy kark, majestat bijący od postaci królowej skruszył jego dumę i upór.

— Witajcie przybysze, posłańcy Sędziów. — Powiedziała królowa zasiadając na tronie, strzeżonym przez dwa koty Grakh z gatunku zielonych, najbardziej złośliwych. —

Powstańcie bym mogła spojrzeć wam w twarz.

Gdy to uczynili, an Thargan głosem pełnym szacunku powiedział:

— Witamy cię o Pani. Nie jesteśmy wybrańcami Sędziów, a tylko biednymi zbiegami z księstwa Rotenberg.

Po twarzy królowej przemknął jakby cień zaskoczenia, lecz opanowała się błyskawicznie.

— Wszak przybyliście w kuli żywego srebra. Jesteście posłańcami Sędziów, choć sami o tym nie wiecie.

— Najjaśniejsza Pani. Sędziowie żyją tylko w legendach... — rycerz urwał widząc, że królowa uniosła dłoń.

— Oni istnieją naprawdę — rzekła z naciskiem.

— W takim razie... o Pani, wyświadcz nam łaskę i powiedz... wyjaśnij — zająknął się an Thargan i zmieszany umilkł zobaczywszy na jej twarzy jakby ślad uśmiechu. To leciutkie drgnienie warg i blask oczu wystarczyło, by zmienić ją całą. Zamiast surowej władczyni ujrzał piękną kobietę o ciemnoblonde włosach posplatanych w drobne pierścionki, opadające na ramiona i obramowujące twarz, której wyniosłe czoło nadawało wyraz dumy, a oczy o zmiennej zieleni-niemieskiej barwie niezgłębionej tajemnicy. Niewielki, o szlachetnej linii nos i czerwone, pełne usta składały się na całość budzącą zachwyt i szacunek. Rycerz przez ułamek sekundy dał się ponieść marzeniom i zobaczył królową u swego boku, w Skalnym Gnieździe rodu an Thargan. Potem jednak czar prysnął i znowu stał się obdartym, zaszczutym banitą, kornie pochylonym przed potężną władczynią tajemniczej krainy.

— Widzę posłańcy, iż Sędziowie nie wtajemniczyli was. A więc ja to uczynię. Znacnie zapewne legendy o wielkich zmaganiach i... — urwała czekając na potwierdzenie. Skinęli głowami.

— Otóż... — urwała znowu. — Jak nazywacie swój świat?! — zapytała.

— Cały świat? — upewnił się Retnian. — To Ziemia, Kula Wśród Mroków.

— Właśnie. Alimor nie jest królestwem na Ziemi, lecz niemal identyczną kulą, tak odległą od waszego domu, że światło, najszybszy biegacz, musi strawić lata przebywając tę odległość. A jednak przodkowie nasi byli tak potężni, że potrafili przedostawać się przez niezmiernie ciemności i ... wykorzystali tę umiejętność do prowadzenia straszliwej wojny. Albowiem — w głosie królowej zabrzmiały spiszowe tony, — Ziemia i Alimor są odwiecznymi wrogami.

An Thargan skamieniał, Retnian zbladł i z trudem utrzymał się na drżących nogach, Siła Gór sprężył się i jego dłoń węzowym ruchem sięgnęła za cholewę buta, by ująć długi

nóż.

— Prowadziliśmy wojnę używając coraz bardziej zabójczych broni, aż wreszcie moi przodkowie zbudowali coś tak przerażającego, iż sami wahali się nad użyciem swego wynalazku. Lecz wasi wojownicy brali już górę. Uderzenie naszej dumy i przekleństwa zwanego — o ironio! — Królową Alimor, zniszczyło całą niemal wiedzę waszych przodków i zepchnęło ich niemal do poziomu zwierząt. Alimor wygrała wojnę. Ziemia została pokonana i mogła zostać przez nas skolonizowana. Podjęto nawet takie próby. Lecz wtedy zabrali głos Sędziowie Galaktyczni. Trzeba wam wiedzieć, iż Alimor i Ziemia nie płyną samotne wśród mroków, lecz że są jednymi z wielu takich światów połączonych Prawami Galaktyki. Sędziowie uznali wojnę, a zwłaszcza użycie broni Alimor, za wysoce niebezpieczne dla Wspólnoty Galaktycznej. Alimor została surowo osądzona i ukarana. Zabrano wszystkie osiągnięcia cywilizacji. W ramach kary zachowano pamięć świetności. Ludzie pozbawieni zdobyczy umysłu marli tysiącami, milionami. Cywilizacja Alimor była bliska zagłady, lecz z najwyższym trudem zdołano zachować jej resztki. W codziennej walce o przeżycie wielu zapomniało o przeszłości, tylko wybrani znają prawdę.

— Lecz ... o pani — odezwał się Retnian — dlaczego Sędziowie zapomnieli o Ziemi, dlaczego nie wspomogli jej, przecież została pokonana, zniszczona, a ludzie żyją tak nędznie...

— Sędziowie uznali za słuszne, by Ziemia także odcierpiała karę za wojnę, którą prowadziła z równą bezwzględnością, jak Alimor.

— Kara powinna dotyczyć tylko tych, którzy żyli podczas wojny! My nie mamy już nic z nimi wspólnego. Sędziowie są okrutni i niesprawiedliwi... — powiedział drżącym głosem.

— Milcz! — przerwała mu ostro królowa. — A co do sprawiedliwości Sędziów... otóż właśnie legenda mówi, że kara nie będzie trwać wiecznie — ma się skończyć dla Ziemi, gdy jej wysłannicy dokonają czynów, które udowodnią Sędziom, iż mogą pozwolić na włączenie Ziemi do wspólnoty...

— A Alimor?

— O tym przekazy nie mówią, lecz domyślać się należy, że i my będziemy musieli zdać egzamin. Ale nastąpi to dopiero, gdy Wy zdołacie przekonać Sędziów...

— Ale jak? — spytał an Thargan.

— Jest miejsce, gdzie dowiecie się wszystkiego, wskażę je wam jutro. Dzisiaj musicie podjąć decyzję — podniosła głos — czy podejmiecie próbę ocalenia Ziemi i Alimor.

— Tak — odpowiedział w imieniu całej trójki an Thargan i dodał: — Przecież nie

mamy wyboru.

— Możecie wybierać między lekką śmiercią jaką jest ścięcie mieczem, a trudnymi do wyobrażenia próbami wymyślonymi przez Sędziów Galaktycznych.

An Thargan wyprostował się, twarz jego przybrała surowy i dumny wyraz.

— Już powiedziałem: Tak! I nie decydował tu lęk przed śmiercią. My Ziemianie nie boimy się jej tak bardzo. Udowodnimy Sędziom, o Pani, że Alimor i Ziemia odcierpiały już swoje grzechy.

Królowa Alimor skinęła głową i powiedziała:

— Wydałabym rozkaz zabicia Was z żalem, bo chciałabym, by czas nienawiści pomiędzy nami minął — mówiła o ton ciszej — egzamin Sędziów to jedyna szansa dla mojego umęczonego ludu. A teraz żegnajcie do jutra. Wasz przewodnik wskaże drogę do komnat, w których będziecie mogli odświeżyć się i wypocząć.

An Thargan, Retnian i Siła Gór skłonili się nisko i odeszli. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, królowa opadła na tron, z jej twarzy wyparowały wszelkie uczucia poza smutkiem i trwogą.

Gdy wyszli na dziedziniec zauważyli żołnierza, który trzymał wodze czterech dorodnych rumaków. An Thargan obejrzał ze znawstwem wierzchowce.

— Królowa pomyślała o wszystkim — powiedział. — Zaiste królewskie rumaki — dodał.

Na krętych schodach wiodących z zamku, ukazała się pani Alimor. Odpowiedziała skinieniem głowy na ich pozdrowienia. An Thargan patrzył na nią z zachwytem — wysoka, szczupła, w skórzanym stroju do konnej jazdy, z mieczem u boku i włosami skrytymi pod hełmem, jaki nosiła jej gwardia, wyglądała jak młody wojownik, nie tracąc nic ze swego kobiecego uroku.

— Zanim wyruszymy, opowiem wam dokąd się udajemy. Otóż Sędziowie opuszczając królestwo Alimor, pozostawili jedyny ślad swej działalności — świątynię, która była ich domem. Choć Sędziowie odeszli, zostawili Tego, Który Wie Wszystko zwanego przez niektórych Bogiem Hatonem. Tylko tam możemy dowiedzieć się, co musimy uczynić, aby uratować ludy Ziemi i Alimor. Złożymy pokłon Bogowi Hatonowi...

— Nie zaszkodzi, a może pomóc — skwapliwie przytaknął Retnian.

An Thargan spiorunował go wzrokiem. Królowa uśmiechnęła się i mówiła dalej:

— Jest tylko jedna trudność. Znaleźli się ludzie, którzy porzucili starych bogów i zaprzędali się Hatonowi. Chodzą słuchy, że trudnią się rozbojem — a łupy składają na ołtarzu

Hatona. Nikt jak dotąd tego nie udowodnił, gdyby było inaczej, dawno wysłałabym tam oddział zbrojnych. Dlatego wybiorę się z wami. Kapłani Hatona nie odważą się wystąpić przeciwko swojej królowej.

— O Dostojna — odezwał się Siła Gór — mimo, że jesteś potężna władczynią, to zawsze będziesz słabą kobietą. Twoją siłą są hufce wojowników. Zabrać ich ze sobą nie możesz, bo wątpię czy zyczyliby sobie tego Sędziowie, a oprócz tego oznaczałoby to, że nam nie dowierzasz. A to jest obelga, której nie moglibyśmy ścierpieć.

An Thargan i Retnian chcieli mu przerwać. Królowa powstrzymała ich gestem ręki.

— Masz rację Siło Gór — odparła. — Mimo to pojedę z wami. Nie znacie Alimor. Będę waszym przewodnikiem, a w potrzebie mój miecz was wesprze — chwyciła głowicę oręża i z wyrazu jej twarzy an Thargan domyślił się, iż nie są to czcze przechwałki. Mimo to próbował coś jeszcze powiedzieć, lecz ona odwróciła się w kierunku koni — dyskusję uznała za zakończoną. Podchodząc do rumaków stwierdziła:

— To jest mój podarunek.

Wkrótce byli gotowi do drogi i nie ociągając się wyruszyli. Jechali przez gęsty las. Nie odzywali się do siebie. Każdy był zatopiony we własnych myślach, tylko Siła Gór rozglądał się bacznie dookoła. Co chwila poprawiał olbrzymi topór przytroczony do pasa. Mimo, że jechali bez przerwy cały dzień, po królowej nie było widać zmęczenia — w przeciwieństwie do Retniana trzymającego się już ledwie na kulbace. Las przez który podróżowali, zaczął rzednąć. Pomiedzy drzewami prześwitywało słońce, które zachodząc odbijało się od zielonej tafli jeziora. Królowa zatrzymała się i odwróciła w kierunku Ziemiań.

— Zbliżamy się do miejsca, gdzie jest świątynia. Musimy znaleźć łódź.

Na środku znajdowała się wyspa o dziwnym pagórkowatym kształcie, pokryta ciemnym liściastym borem. Na brzegu zobaczyli coś w rodzaju zaniedbanej przystani. Stało tam kilka łódek. Nikt ich nie pilnował.

— Nie będziemy skradali się jak złodzieje — powiedziała królowa. Podniosła do ust swój róg i wszyscy usłyszeli czyste brzmienie królewskiego sygnału.

— Z koni! — rozkazał an Thargan. Po chwili znaleźli się w łodzi. Siła Gór odepchnął ją od pomostu. Nie wiosłowali długo, wyspa była tuż.

— To mi się nie podoba — zauważył Retnian. — Ani śladu ludzi, a jednak wydaje mi się, że jesteśmy obserwowani.

Po chwili dobili do brzegu. Stanęli na wyspie. Nie zdążyli zastanowić się, co będą robić dalej, gdy spomiędzy drzew wyszedł im naprzeciw wysoki starzec, ubrany w dziwną, obszerną szatę białego koloru. Na piersiach nosił znak czarnej gwiazdy, której jeden z pięciu

promieni był dłuższy od pozostałych. Jego siwe włosy spięte w koński ogon opadały na plecy. Wąsy imponującej długości zwisały po obu stronach szczęki,

— Witajcie, jestem Hanion. Szczególnie ciebie witam Pani Alimor. To dobrze, że przysłicie oddać pokłon Hatonowi — bogowi pustki gwiazdnej.

Zechciejcie przyjąć ode mnie skromny podarunek. — To mówiąc podał im cztery duże brosze, w kształcie latających węży o ślepiach błyszczących złotym blaskiem.

— Możecie iść spokojnie do świątyni. Nikt wam nie przeszkodzi. Odwrócił się na pięcie i odszedł równie cicho, jak się pojawił. Nie zdążyli mu

nawet podziękować. Idąc wskazaną drogą, spoglądali z ciekawością na ofiarowane im brosze. Królowa była chyba bardziej zdziwiona od swych gości. Ha-nion ofiarował im naprawdę cenne klejnoty — same oczy węża wykonane z ho-tiaiu warte były kilka wsi. An Thargan odezwał się:

— Podarki od wrogów kryją zawsze podstęp i śmierć. Siła Gór skinął potakująco głową.

— Ja też tak sędzę — odezwała się królowa. — Wyrzucimy je. Retnian odparł z oburzeniem:

— Pani, ty nigdy nie zaznałaś biedy. Nie wyrzuca się bogactwa nawet, gdy pochodzi ono od wroga. Poza tym możemy ściągnąć na siebie gniew obdarowujących.

Nic na to nie odpowiedzieli. Z lasu wyszli wprost na podwórzec świątyni. Wyłożony był białymi trójkątnymi płytami. Sama świątynia zbudowana z takiego samego budulca, skryła się w zachodzącym słońcu. Była to surowa bryła bez żadnych ozdób. Zatrzymali się niezdecydowani przed prostokątnym, czarnym otworem wejścia.

— Nie ma co się zastanawiać — rzekł an Thargan. — Idziemy.

Gdy przestąpili próg świątyni, mrok rozjaśniło ciepłe światło wydobywające się ze ścian. Stali w korytarzu rozchodzącym się w prawo i lewo. Ściana korytarza nie dotykała odległego sklepienia.

— Jeżeli pójdziemy tym korytarzem, pewnie wrócimy na to samo miejsce. Wyraźnie skręca — powiedział Retnian.

An Thargan zgodził się z nim w milczeniu.

— Musimy się dostać do wewnętrznego pomieszczenia — rzekła królowa.

— Nigdzie nie ma wejścia — powiedział Siła Gór. A potem niewiele się zastanawiając, podszedł do ściany i uderzył w nią pięścią z całej siły. Retnian wzruszył ramionami:

— Uderz mocniej i to najlepiej głową...

Nie dokończył, ściana przed nimi jakby zafalowała i rozplynęła się w powietrzu. Otwór, który się przed nimi pojawił, ukazał wewnątrz mocniej oświetlone niż korytarz. Powoli podeszli do wejścia.

— Zaczekajcie — wstrzymała ich królowa. — Przyjrzyjcie się tym drzwiom uważnie.

Przestrzeń wypełniająca otwór wejściowy leciutko drgała... An Thargan wyciągnął miecz, świsnęło powietrze przecięte ostrzem. Jednocześnie z tym dźwiękiem błysnął biały promień i wytrącił broń z ręki rycerza. Cofnęli się i tylko Siła Gór pozostał na miejscu.

— Zauważyliście, ostrze nie przeszło nawet na drugą stronę. Jestem ciekawa, skąd wziął się ten biały promień — zastanawiała się pani Alimor. — W murze przy wejściu nie ma żadnego otworu.

— Musimy się dostać do środka — powiedział przez zaciśnięte zęby Siła Gór. Ruszył ku drzwiom.

— Zaczekaj — krzyknęła królowa i rzuciła swoją broszę w otwór. Przestrzeń wypełniała się białym huczącym ogniem.

Po drogocennym klejnocie została kupka szarego proszku. Spostreżegli teraz, że podobny pył leżał na podłodze korytarza. Po chwili poczuli na twarzach lekki powiew wiatru — wymiótł on to, co zostało z klejnotu daleko od progu.

— Nie ma co, lubią porządek — stwierdził lekko drżącym głosem Retnian.

— Nic tu chyba nie wskóramy — powiedział an Thargan. — Spróbujmy gdzie indziej.

Zauważyli, że w pewnych miejscach koło ściany nie ma w ogóle szarego proszku.

— Tutaj spróbujmy — zdecydował rycerz.

Tym razem wystarczyło tylko dotknięcie dłonią Retniana. Tak jak poprzednio ukazało się wejście. Wewnątrz ujrzeli znajome pomieszczenie. An Thargan rzucił broszę. W drzwiach mignął jakiś cień tak, jakby ktoś przysłonił na chwilę ręką płomień świecy. Klejnot zniknął i na twarzach poczuli zaraz ciepły wiatr.

— Nie lubią kosztowności — zauważył Retnian.

— Ani takich bogaczy jak ty — zakpił Siła Gór. Skierowali się ku dalszym drzwiom.

— Musimy się pozbyć wszelkich klejnotów — powiedziała królowa. Stanęli, an Thargan zebrał wszystkie kosztowności i cisnął w światło drzwi.

Coś w rodzaju ognistej zasłony pochłonęło cenne zawiniątko. Tylko Retnian wzbraniał się z oddaniem broszy. Trzymał ją w dłoni, patrząc jak Siła Gór z tą samą determinacją, jaką wykazał przy Srebrnym Blasku, rzucił się do drzwi.

— Nie — krzyknęła królowa, ale było już za późno.

Góral znalazł się po drugiej stronie. Śmiał się dziko i machał na nich ręką. Następny wszedł do środka rycerz, później pani Alimor. Retnianem targały wątpliwości — Takie bogactwo! — udał, że wyrzucił broszę. Ruszył dziarsko ku drzwiom. Wiedział czym ryzykuje. Wstrzymał oddech i przeskoczył próg. Nic się nie stało. Już chciał krzyknąć radośnie, gdy pod nim uchyliła się zapadnia, spadał. Uratował go błyskawiczny refleks Siły Gór. Z szybkością górskiej pantery schwycił poetę za rękę.

— Wyrzuć to szybko — powiedział góral, trzymając go nad przepaścią. Błady jak śmierć Retnian wypuścił z dłoni klejnot — nie usłyszeli jego

ku. Siła Gór postawił poetę obok siebie — twarz Retniana z bladej stała się czerwona jak burak. Ciężko dysząc ocierał z czoła krople potu.

— Nigdy więcej nie będę chciwy! — powiedział ze skrucą poeta.

— Tak... nie dziwię się wcale, że obdarowano nas tak hojnie... — rzekł an Thargan.

— Zapłacą za to — powiedziała królowa. — Mam teraz powód, żeby z nimi skończyć.

Wtem usłyszeli potężny głos, który grzmiał jak grom, zwiastun burzy.

— Witajcie Przybysze. Zajmijcie wygodne miejsca i słuchajcie.

An Thargan rozejrzał się bezradnie po komnacie, nigdzie nie zobaczył żadnego sprzętu. Nagle poczuł, że coś miękkiego i ciepłego otula jego ciało. Po chwili zawisł w powietrzu, w niewidzialnym kokonie. To samo stało się z pozostałymi. Teraz głos był cichszy i wydobywał się jakby ze środka głowy.

— W dawnych czasach mieszkańcy Alimor i Ziemi toczyli wielkie, niszczycielskie wojny. Pustoszone całe systemy planetarne. Była to najbardziej zażarta walka, jaką kiedykolwiek toczono w kosmosie. My, których nazywacie Sędziami Galaktycznymi, patrzyliśmy na to zaniepokojeni. Walki objęły wiele ludów żyjących w Galaktyce, gdyż każda ze stron siłą lub podstępem starała się zdobyć możliwie największą liczbę sojuszników. W głupiej i brutalnej wojnie, której powód uległ zapomnieniu, użyto w końcu broni strasznej. Wynaleziono ją na Alimor. — Głos był cichy, monotony opowiadał historię słyszaną już na zamku królowej.

— Na koniec najważniejsze — kontynuował tajemniczy mówca. — Nie chcemy i nie możemy przywrócić Ziemi i Alimor dawnej świetności, lecz możliwe jest przyspieszenie ich rozwoju i to w tempie na tyle szybkim, by dla najbliższych pokoleń upadek cywilizacji był już tylko ponurym wspomnieniem. Uczynimy to pod warunkiem, że udowodnicie, iż jesteście godni, by znowu znaleźć się we Wspólnocie Galaktycznej. Będziecie poddani różnym próbom — każda z nich będzie testem waszej przydatności we Wspólnocie. Dwie próby już

przeszliście zwycięsko: przybyliście w Srebrnym Blasku na Alimor i sforsowaliście urzędnika zabezpieczające naszej kwatery. Pamiętajcie! Każde z was usłyszy tylko o jednej próbie. Muszą one być spełnione w odpowiedniej kolejności. Dlatego też wiadomości o nich będą zablokowane w waszych mózgach, aż do odpowiedniej chwili. Gdyby jednak któraś z prób nie została pomyślnie zakończona, wiadomości o pozostałych zadaniach zostaną wymazane.

Monotonny głos mówił jeszcze przez chwilę o czekających ich zadaniach, a potem umilkł. Ocknęli się wszyscy jednocześnie. Patrzyli przez chwilę na siebie w milczeniu.

Pierwszy odezwał się Retnian:

— Mogą być kłopoty z tutejszymi kapłanami. An Thargan przytaknął:

— Będą nieprzyjemnie zdziwieni, gdy wyjdziemy.

— Myślę, że nie musimy się obawiać — nie powinni występować otwarcie przeciwko swej władczyni.

Retnian chciał przypomnieć, że przecież wysłali ich na niemal pewną śmierć, ale zmilczał. Skierował się ku wyjściu. Gdy znaleźli się na dworze, nie znaleźli śladu po dziedzińcu. Nie ulegało wątpliwości, iż opuścili świątynię innym wyjściem. Schodzili ze zbocza wzgórza w kierunku jeziora.

— Dość długo zabawiliśmy w środku, zaczyna świtać — zauważył an Thargan. Siła Gór gestem dłoni nakazał ciszę. Skupiony nasłuchiwał ze zmarszczonymi brwiami. Po chwili pozostali usłyszeli szcęk żelaza.

— Zbrojni — zawyrokował Siła Gór. W jednej sekundzie trzymał topór w garści. Z zarośli wyszedł Hanion w srebrnej kolczudze, z mieczem w ręce. Zastąpił im drogę. Za nim ukazało się jeszcze ośmiu zbrojnych kapłanów.

— Zbyszczeliście świątynię — odezwał się głuchym głosem Hanion. — Tylko śmierć...

Siła Gór nie zastanawiał się, ostrze olbrzymiego topora świsnęło w powietrzu i Hanion padł rozcięty niemal na dwoje. Krew zbryzgała leśne runo. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Góral zdołał uśmiercić jeszcze dwóch wyznawców Hatona, zanim pozostali zorientowali się w sytuacji i rzucili do walki. An Thargan dobył miecza i skoczył naprzeciw nirn wiążąc się w walce z dwiema srebrnymi postaciami. Pozostali kapłani omijając Siłę Gór zaatakowali królową i Retniana. Ci dzielnie stawili im czoła, widać było jednak, że przeciwnicy znacznie górują nad nimi siłą. Siła Gór odwrócił się od powalonych wrogów i z furią skoczył na ratunek pani Alimor. Walka sprawiała mu dzięki przyjemność, a jego topór robił prawdziwe spustoszenie. Tymczasem an Thargan zdążył sobie poradzić ze swymi

przeciwnikami, jednemu ostrze jego miecze ześliznęło się po kolczudze i rozdarło szyję — udusił się własną krwią. Drugi pchnięty błyskawicznym sztychem w pachę padł martwy na swój pęknięty rniecz. Rycerz odwrócił się chcąc pomóc przyjaciołom, lecz oni stali już nad martwymi ciałami zdradzieckich kapłanów.

— Prędko — krzyknął an Thargan. — Do łodzi, zanim nadejdą następni. Po kwadransie znaleźli łódź w miejscu gdzie ja pozostawili — spodziewanej zasadzki przy niej nie było.

Wskoczyli do niej i natychmiast odbifi od brzegu. Przebyli jezioro i porzuciwszy łódź, dosiedli koni czekających w gęstych zaroślach. Jechali szybko obawiając się pogoni. Gdy w oddali na horyzoncie zarysowały się wyniosłe wieże zamku, królowa odezwała się zimnym jak metal głosem:

— Jeszcze dziś wydam rozkaz unicestwienia tego gniazda łotrów, przeniosę ich wszystkich do nieba boga Hatona. A na wyspie zostawię garnizon — dodała marszcząc gniewnie swe piękne brwi.

An Thargan zapatrzonej w nią nie zauważył, kiedy kopyta ich koni załomotały o deski zamkowego-mostu.

Zebrawi się w komnacie an Thargana czyszcząc starannie broń. Sam rycerz siedząc przy stole w rozchełstanej rii piersi koszuli i skórzanych sięgających za kolana spodniach, ostrzył swój miecz. Oręż ten wykonany z dziwnego metalu, twardego a zarazem elastycznego, znajdował się w posiadaniu jego rodu od wieiu pokoleń. Ojciec przekazywał go zawsze synowi, gdy ten potrafił jednym cięciem rozpołować kiryśnika.

— No, wystarczy — stwierdził Lean ocierając rękawem pot z czoła. Wstał i zawinął młynka mieczem tak szybko, aż oręż zniknął. W jego miejsce pojawiło się świetliste kolisko. Retnian odłożył łuk, a Siła Gór otworzył usłp z podziwu. Nagle skrzypaneły drzwi — do komnaty weszła królowa Alimor. An Thargan opuścił miecz, a poeta i góral zerwali się na równe nogi.

— Wybaczcie, że przychodzę bez uprzedzenia, aie im rniej osób wie o naszych sprawach tym lepiej.

— Krolowo... — zaczął an Thargan, ale władczyni przerwała mu:

— Od tej chwili jestem dla was Awe Llim. Gdy mam przy boku miecz swego rodu, zwracajcie się do mnie tylko tym imieniem. Pamiętajcie — powtórzyła 2 naciskiem — Awe L'lim.

— Dobrze pani. Czeka nas kolejna próba — powiedział an Thargan. — Oto gdy dzisiaj rano ocknąłem się ze snu, stanął mi przed oczami ten sam obraz, jaki ujrzalem w

świętyni Hatona. W ciemnościach błyszczał diament z kształtu i wielkości zbliżony do ostrza sztyletu, zawirował, zajaśniał jak płomień i znikł.

Głowię się nad tym, co też to może znaczyć... — rycerz urwał widząc jak oczy królowej rozszerzyły się i pociemniały.

— Gorejący Diament! — wykrzyknęła i zakryła dłonią usta.

Wyczuli w jej głosie trwogę. Awe L'lim usiadła ciężko na fotelu, milczała chwilę, a potem stłumionym głosem powiedziała:

— Widziałeś największą świętość Alimor. Istnieje legenda mówiąca o tym, że gdy zaginie, skończy się świat.

— Gdzie jest ten diament? — zapytał Siła Gór, na jego twarzy nie było śladu wzruszenia.

— O tydzień drogi stąd w świętym mieście Azcie.

— Musimy zdobyć ten klejnot. Tego żądają Sędziowie — powiedział twardo an Thargan.

— To będzie straszne, ludzie wpadną w panikę, zaczną się masowe samobójstwa, bo wszyscy zechcą uprzedzić męki końca świata...

— Musimy go zdobyć — powtórzył an Thargan odwracając głowę, by nie patrzeć na rozpacz królowej.

Jechali już siedem dni nie szczędząc koni. Na szczęście drogi były bezpieczne — patrolowali je strażnicy królewscy. Retnian układał w myślach poemat na cześć królowej i zastanawiał się czy znajdzie dość odwagi, by go jej wyrecytować. Siła Gór rozglądał się ze zdumieniem patrząc na to, jak ciężko pracują i nędznie żyją wieśniacy w mijanych wioskach, nie czuł już do nich nienawiści, choć byli to wrogowie. An Thargan jechał obok królowej starając się rozproszyć jej ponurą zadumę, lecz Awe L'lim nie odpowiadała na żadne słowa rycerza, żaden promień światła nie przebiegł przez jej mroczną twarz. Milczeli więc — pod koniec drogi Lean stwierdził ze zdumieniem, że milczenie to jakoś ich połączyło. Zaczynał rozumieć królową Alimor. Jej lęk — nie o siebie, a o innych ludzi, o obcych, z których większości nie zobaczyłaby nigdy w życiu ...

An Thargan wiedział już, że nie obroni się przed uczuciem do tej wyniosłej, dumnej a jakże ludzkiej i dobrej istoty. Miał pewność, iż nie będzie mógł jej wyznać swej miłości i to poczucie beznadziejności pobudzało w nim zniecierpliwienie i łaknienie walki, w której mógłby zapomnieć o rozterkach duszy...

Na nocleg stanęli o dwie staje od miasta. Rozstawili namioty, rozpalili ognisko. Gdy zjedli kolację Awe odezwała się ku zdumieniu Ziemi.

— Miasto jest silnie strzeżone. Nie wjedziemy tam niepostrzeżenie...

— Racja, być może będziemy musieli się rozdzielić. Wejdziemy na piechotę, bo konie są tu oznaką bogactwa i zwróciłyby na nas uwagę.

— Diament jest umieszczony w najwyższej komnacie Wieży Świata...

— Jak się tam dostać zobaczymy na miejscu. — powiedział an Thargan. Głosy trąb obwieściły o świcie, że bramy zostały otwarte. Na straży stanęli

żołnierze uważnie wpatrując się w twarze wchodzących. Od czasu do czasu zatrzymywali kogoś i przeprowadzali rewizję. W godzinę po otwarciu bram, przez zwodzony most do środka wszedł długi szpaler ludzi objuczonych workami ze zbożem. Ostatni z szeregu, olbrzym, objuczony był ponad miarę dwoma workami, ale stapał lekko i nie zdawał się być zbyt zmęczony. Strażnicy zatrzymali go:

— Hej chłopie, nadałbyś się do Gwardii Azcie, rzuć te ciężary i zgłoś się do nas — powiedział dowódca straży.

Poborca prowadzący konwój odwrócił się na te słowa i krzyknął:

— Zostawcie go, on jest żołnierzem, odbywa karę i nic oprócz łaski królewskiej go nie uwolni.

— Ha, chyba, że tak — powiedział ze szczerym żalem sierżant.

Konwój posuwał się wąskimi, pustymi jeszcze o tej porze uliczkami. Gdy mijali cichy zaułek, na który nie wychodziły żadne okna, odłączył się od niego ostatni tragarz, a w chwilę potem zrobił to samo poborca. Siła Gór rozejrzał się uważnie, następnie wytrząsnął z jednego worka przyduszonego Retniana, a z drugiego ubrania i broń. An Thargan zrzucił strój poborcy i zaczął się szybko ubierać.

— Do licha, mógłbyś mnie nieść delikatniej — wystękał Retnian obmacując zębra.

— To był jednak niezły pomysł — stwierdził an Thargan — żeby wejść do miasta razem z transportem zboża.

Zamiana poborcy na rycerza i dołączenie Siły Gór do szeregu, udało się łatwo dzięki Awe L'lim. Wyszła z zagajnika tuż przed nosem poborcy i ze słodkim uśmiechem poprosiła go o to, by pomógł jej złapać spłoszonego konia. Urzeczony wdziękiem nieznajomej, urzędnik zatrzymał swoich ludzi i poszedł za nią w las. Po kilku minutach wrócił odprowadzony przez Awe — tak się przynajmniej wydawało chłopom, gdyż oczywiście rolę poborcy przejął rycerz. Długi, czarny płaszcz i kapelusz o szerokim rondzie ułatwiły mu to zadanie. Dołączenie Siły Gór do konwoju było już drobnostką — przygięci pod ciężarem worów ludzie nie widzieli nic poza drogą i nie zwrócili na to uwagi.

— Dobrze — podsumował rycerz dopinając pas — czekamy na król... — ugryzł się w

język — na Awe Ulirn.

Nie minęło dziesięć minut, gdy do zaułka weszła bosonoga wieśniaczka z węzełkiem na prawym ramieniu. Lewą ręką masowała udo.

— Ten sierżant jest zanadto bezczelny — powiedziała pani Alimor.

Siła Gór wybuchnął grubym śmiechem, ale nagle zamilkł pod spojrzeniem Leana i opuścił głowę. Po chwili szli w kierunku Wieży Świata. Awe prowadziła uliczkami najmniej uczęszczanymi. Wreszcie stanęli u wylotu jednej z nich, przed nimi w odległości trzystu kroków wznosiła się Wieża, lśniąca wypolerowanym srebrno-białym marmurem. Była tak wysoka, że musieli zadzierać głowy, by dojrzeć jej wierzchołek.

— Jedenaście kondygnacji — powiedziała Awe. — Na każdej, oprócz ostatniej, sześciu strażników.

— Wygląda na to, iż będziemy musieli zdobywać po kolei piętra — mruknął Siła Gór.

— Sześćdziesięciu ludzi? No i co najmniej kilkuset, gdy będziemy wracać. To nierealne — kręcił głowa an Thargan.

Retnian przyglądał się wieży, a potem budynkom, które stały najbliżej. Uwagę jego zwrócił wysoki — co najmniej pięciopiętrowy — gmach. Z jego dachu wznosiła się jeszcze wieżyczka zakończona obwiedzioną balustradą galeryjką.

— Co to jest? — spytał wskazując dom.

— Dawne obserwatorium uczonego Berto. Obecnie urzędują tu władze miejskie.

— Siła Gór, dorzuciłbyś arkanem stamtąd do wieży? — zapytał Retnian. Olbrzym zmierzył wzrokiem odległość i twarz mu się rozjaśniła w uśmiechu.

— O tak. Na halach robiłem takie rzeczy często.

— Brawo Retnian. To jest wyjście — stwierdził rycerz.

— Czekamy na noc? — spytał poeta.

— Nie. Zrobimy to w samo południe, kiedy promienie słońca zapędzą ludzi do domów, a strażnicy będą tak rozleniwieni, że nie wytkną nosa zza krat.

Awe patrzyła na Ziemiaków zdumiona, nawet lękliwy zdawałoby się Retnian bez wyraźnego strachu mówił o tym, co jej zdawało się być niepodobieństwem. Kilkaset sążni po cienkim arkanie na wysokości kilku pięter, na dodatek w centrum Świętego Miasta strzeżonego jak żadne na tej planecie — nie, to nie mogło się udać Aiimorczykom, ale... może powiedzie się Ziemiakom, okrutnym wojownikom z legend?

Do południa ukrywali się na tyłach obserwatorium, potem z zadowoleniem zauważyli, iż budynek opustoszał — rajcy miejscy i skrybowie udali się na południowy odpoczynek do

swych domów. Drzwiczki kiedyś przeznaczone zapewne dla służby, nie opierały się zbyt długo Siłę Gór. Wewnątrz było pusto i cicho. Jedyny woźny został ogłuszony tak szybko, iż nie zdążył nic zauważyć. Dotarli do wieżyczki, gdy słońce stało dokładnie w zenicie, życie na uiciu zamarło.

— Przechodzimy we dwóch z Siłą Gór — zdecydował an Thargan.

— Ty, Pani, i Retnian będziecie nas ubezpieczać.

Siła Gór wyszedł na galerijkę — stanął w pełnym słońcu widoczny jak na dłoni, rozwinął częściowo arkan i przyglądał się ceiowi. Ostatnie piętro wieży zawierające komorę diamentu pozbawione było okien. Musieli dostać się tam poprzez dziesiąte. Zamachnął się i potężnym rzutem cisnął sznur. Retnian wstrzymał oddech i zamknął oczy, gdy je otworzył, zobaczył, że pętla zacisnęła się na potężnym haku, który utrzymywał kratę w oknie. Siła Gór przywiązał arkan do barierki, a potem szybko zrzucił kurtkę i buty. Swój nóż wetknął za pas. Ujawszy sznur rękoma i bosymi stopami, zaczął pisać się po nim ku oknu. An Thargan poszedł w jego ślady, miecz zawiesił na szyi. Był w połowie drogi, gdy Siła Gór dotarł do kraty. Jedną ręką zaczął wylamywać żelazne pręty. Zapatrzony w ten nieprawdopodobny widok Retnian, zdrewniał nagle z przerażenia. Oto na piątym piętrze wieży, dostrzegł w oknie twarz strażnika, który nie mógł nie dostrzec naprężonej liny. Brzęknęła cięciwa łuku poety i strzała utkwiała w gardle strażnika, zanim zdołał wszczać alarm. Retnian oczekiwał najgorszego — ale widocznie towarzysze zabitego znajdowali się w innej komnacie, bo w dalszym ciągu panowała cisza. Tymczasem Siła Gór już zniknął w otworze okna, zaraz za nim wśliznął się an Thargan. Po kilkunastu sekundach do uszu Awe i Retniana dobiegły dwa stłumione okrzyki. Następnie znowu zapadła cisza. Minuty dłużyły się nieznośnie, upał rósł i odbierał chęć do wychylenia choćby nosa z cienia. Wreszcie w oknie ukazała się twarz Siły Gór. Tym razem przedostanie się do Awe i Retniana było łatwe. Wystarczyło zsunąć się hamując stopami szybkość. Siła Gór skrył się we wnętrzu wieżyczki, a an Thargan ciągle jeszcze tkwił w środku Wieży Świata. Nagle ukazał się w oknie, lecz zamiast wyjść na zewnątrz stał nieruchomo. Zobaczyli jak w słońcu zabłysnął miecz rycerza. Przecięta lina opadła luźno na ziemię.

— Co on robi?! — wyrwał się poecie krzyk pełen zdumienia.

I wtedy usłyszeli okrzyki dobiegające z wnętrza Wieży Świata.

— Uciekamy — powiedział Siła Gór i zbiegł po schodach, trzymając w ręku buty. Retnian pobiegł za nim. Awe L'lim spojrzała jeszcze raz na okno, w którym nie było już Leana i podążyła w ich ślady.

Lean an Thargan, jedenasty baron na zamku Skalne Gniazdo, szedł boso po pełnej

kurzu drodze. Ręce miał skrupowane na plecach. Otaczali go konni strażnicy Gwardii Azcie. Jeden z nich trzymał sznur, który oplatał pętlą szyję rycerza. Już niewiele pozostało do przejścia — miejsce, w którym tracono zbrodniarzy było blisko. Lean nie bał się śmierci, żał mu tylko było, iż nie mógł zginąć z mieczem w dłoni. Wczoraj podjął decyzję i wydał się dobrowolnie na tortury, jakie zawsze poprzedzają śmierć świętokradców. Tak, to było wczoraj ...

Gdy wsunął się do wieży za Siłą Gór, nie myślał o śmierci, strażników pokonali błyskawicznie i prawie bezgłośnie. Siła Gór chciał wyważyć drzwi wiodące do komnaty diamentu, ale ku swemu zdumieniu nie zdołał ich nawet poruszyć. An Thargan odsunął go i wpatrzył się w niewielkie drzwiczki. Całą ich powierzchnię pokrywały dziwne rysunki. Widział już kiedyś coś podobnego, pamiętał to jak przez mgłę. Ależ tak! To mapa nieba widzianego z Ziemi, ale... coś tu raziło, coś było nie tak. Drzwiczki podzielono na szereg kwadratów, na których zaznaczono poszczególne gwiazdozbiory. No tak! Część gwiazdozbiorów była umieszczona nie na swoich miejscach.

Lean dotknął płytek i bez zdziwienia stwierdził, że się przesuwają. Zmęczył się, zanim zdołał ułożyć tę łamigłówkę — teraz wystarczyło lekko pchnąć drzwiczki i droga do Diamentu stała otworem. „Niech będą błogosławione te przeraźliwie nudne lekcje astronomii, jakimi katowano mnie w młodości” — westchnął w duchu. Siła Gór patrzący na rycerza, jak na czarownika, ocknął się nagle i wszedł po kryjących się za drzwiami schodach do komnaty. W zupełnej ciemności, na kamiennej iglicy wirowała smuga blasku — Gorejący Diament. Po chwili byli znowu na dziesiątym piętrze — i wtedy an Thargan doznał wstrząsu. Odkrył sposób, który mógł ocalić wiarę Alimor w Diament. Sposób wymagający ofiary, ale mogący ocalić wiele istnień... To wrogowie — szepnęło coś w duszy. To tylko ludzie, tacy jak ty, czy Siła Gór — odezwał się drugi głos. Wahał się, wspomnienie wyrazu oczu królowej w chwili, gdy objawił jej swój sen o Diamencie przerwało rozterkę. W ciągu sekundy wyrzekł się wszystkiego: nadziei, miłości, życia... Podał Diament Sile Gór mówiąc:

— Idź pierwszy.

Gdy góral wysunął się z okna, zatrzęsnały drzwi — kwadraty wróciły na pierwotne miejsce. Potem przeciął arkan, by przyjaciele nie próbowali wrócić po niego, a słysząc tupot nóg i okrzyki stanął z dobytym mieczem u zamkniętych drzwi. Walczył rozpaczliwie, ale strażnicy opletli go sieciami — miał zginąć pośród wymyślnych tortur, a nie lekką śmiercią od miecza. Wyrok ten ogłoszono mu po kilkugodzinnym pobycie w celi więziennej, wypełnionym torturami mającymi na celu zmuszenie go do zdradzenia ewentualnych współników. Wytrwał. Sędziowie Azcie doszli do wniosku, iż jest złodziejem-samotnikiem.

Twoje świętokradcze wysiłki byty daremne, gdyż nikt od czasu Wojny nie zdołał dostać się do komnaty Diamentu, lecz sama myślisz, jaką powziąłeś zbrodniarzu, skazuje cię na długą śmierć — powiedział dowódca straży Azcie. — Wyrok będzie wykonany przed upływem dwunastu godzin.

Został wyprowadzony po kryjomu z miasta — zapewne dlatego, by mieszkańcy miasta nie dowiedzieli się, że Diament był choćby w minimalnym niebezpieczeństwie. Jego plan powiódł się.

Droga przebiegała przez gęsty zagajnik — ten sam, w którym stał się na krótko poborcą królewskim. Ledwie zagłębili się w nim, gdy z lasu wypadła kilkudziesięciosobowa banda grasanców, przprowadził ich olbrzym wykrzykujący coś w nieznanym dla Alimor chrapliwym języku. Zza drzew świsnęły strzały. Po paru minutach było po wszystkim, ciała Strażników stygły w pyłe drogi. Wysoka, szczupła kobieta rzuciła wypchaną sakiewkę pod nogi grasantów, a potem podeszła do rycerza i rozcięła mu więzy. Ich oczy spotkały się i Lean w spojrzeniu królowej Alimor odczytał coś, w co nie uwierzył...

An Thargan, Retnian i Siła Gór siedzieli przy stole rozmawiając. Właściwie mówili tylko rycerz i poeta, Siła Gór używał ust do innego celu. Kończył właśnie kolejny posiłek. Jadał samotnie w komnacie, u stołu królowej wstydził się swych manier, czy raczej ich braku i ledwie tykał jedzenia (choć pił jak inni).

Siła Gór skończył ostatni udziec, spojrzał na Retniana i rzekł: — Wiesz co, przyjacielu? Twój góral opadnie z sił po tak marnym obiedzie.

— Nie — przeciął kategorycznie Retnian. — Nie licz na to. Już i tak wszyscy patrzą na mnie jak na dziwoląga. Taki kurdupel, a je za trzech.

Zaczęli się śmiać.

— To raczej powinni się dziwić naszemu olbrzymowi — powiedział an Thargan — prawie nic nie jada, a wygląda ho, ho.

Pogawędki te przerwało im nadejście królowej. Na przywitanie obdarzyła każdego z nich uroczym uśmiechem, ale przypatrzwszy się Leanowi od razu spoważniała.

— Czyżby nowe objawienie Sędziów...?

— Tak pani. Siła Gór mówi, że mamy udać się do miejsca zwanego Roc-kann i przebyć Labirynt Snów.

— Rockann? — pani Alimor zmarszczyła w namyśle brwi. Długą chwilę milczała, wreszcie uniosła głowę, oczy jej zalśniły.

— W części Świata Alimor spustoszonej przez zarazę i nie zamieszkaną od wieków, znajdują się góry Rockann, zwłaszcza jedna pełna jest jaskiń i rozpadlin; w dzieciństwie

opowiadano mi legendy o ukrytych tam skarbach.

— Czy to daleko stąd? — zapytał Retnian.

— O tak. Żeby dostać się na spustoszoną ziemię, trzeba przebyć morze Wiatrów, potem zaś jechać konno ciągle na wschód przez step, dobrych kilkaset staj.

— Toż to cała wyprawa — stwierdził Siła Gór.

— Potrwa co najmniej sześćdziesiąt dni — powiedziała królowa. •— Będę musiała powierzyć sprawowanie rządów najstarszemu z Rady, panu Skogan Re.

— A więc i w tej przygodzie chcesz nam towarzyszyć, Pani? — spytał an Thargan.

— Muszę. Do mnie także przemawiali Sędziowie — odparła władczyni.

W cztery tygodnie później stanęli u stóp góry Rockann, u celu swej pełnej niebezpieczeństw wędrówki. Cały stok góry był podziurawiony otworami jaskiń. Siła Gór podrapał się w głowę, a an Thargan zapytał:

— Która jest właściwa?

Siła Gór skinął na Retniana. Ten wyciągnął z sakwy podróżnej owinięty w jedwab przedmiot. Rozwinął materiał i wśród skrzeń ukazał się Diament. Królowa patrzyła z przerażeniem. Przypomniła jej niedawne, straszne przeżycia.

— On nam wskaże drogę — powiedział Siła Gór biorąc klejnot do ręki. Położył go na ziemi i zakręcił nim. Jego ostry koniec rozjaśnił się pulsującym blaskiem. Gdy wirowanie ustało wskazał jedną z jaskiń.

— Chodźmy — powiedział an Thargan.

Po chwili zagłębili się w ponurej pieczarze. Początkowo szeroka, później zmieniła się w korytarz o wygładzonych ścianach. Na czele szedł Siła Gór, trzymając w jednej ręce płonące łuczywo, w drugiej ciężki topór. Za nim posuwali się Retnian i królowa, pochód zamykał an Thargan. Powietrze było przesycone dziwnym, stęchłym zapachem. Cienie kładące się na ścianach robiły upiorne wrażenie, co jakiś czas skwierczała i zapalała się olbrzymia pajęczyna.

— Czy my w ogóle stąd wyjdziemy — spytała cicho Awe L'lim.

— Dotąd dawaliśmy sobie radę, Pani, więc i teraz tak będzie — powiedział zuchowato Retnian. — Lecz w jego głosie dzwięczała niepewność i lęk. Ze względu na Awe L'lim — udawał wesołość i beztróskę chcąc ją podtrzymać na duchu. Poprawił kołczan ze strzałami, mocniej ścisnął łuk, instynkt podpowiadał mu, że w czeluściach korytarza kryje się niebezpieczeństwo. An Thargan i Siła Gór nie odzywali się, szli tak czujnie, jak dzikie koty Grakh. Podziemny korytarz to zwężał się, to rozszerzał. W ciemnościach słychać było tylko chrzęst stóp na czarnym żwłtee. Wreszcie dotarli do pierwszej krzyżówki, ich korytarz

przecinał się z innym njemal pod kątem prostym.

— Gdzie dalej? — spytał Siła Gór.

Retnian wyjął z zanadru Diament. Położył go na ziemi. Pulsujący blaskiem koniec diamentu wskazał właściwą drogę. Po kilkuset krokach podziemny chodnik kończył się bramą o dziwnym postrzępionym kształcie. Podchodząc bliżej ujrzeli wydobywające się spoza niej światło. — Bądźcie czujni — szepnął Siła Gór. Gdy przekroczyli bramę znaleźli się w niewielkiej sali, pośrodku niej stał — wyraźnie na nich czekając — rycerz w niebiesko szmelcowanej zbroi, bez hełmu, z obnażonym mieczem w dłoni. Spostrzegłszy ich krzyknął:

— Biada ci baronie an Thargan — i ruszył w ich kierunku. Siła Gór uśmiechnął się tylko.

— Rozgrzeję się trochę — powiedział spluwając w dłonie. Poderwał topór tak mocno, aż zachrzęściło w stawach.

— Stój — powstrzymał go an Thargan, a jego głos był tak dziwny, aż góral opuścił toporzysko ze zdumienia: rycerz jakby... jakby bał się postaci w sinej zbroi.

— To księżę Rotenberg — stwierdził Retnian.

Minęła chwila wahania — an Thargan dobył miecza i skoczył ku księciu,

— Nareszcie cię dopadłem, banito — ryknął księżę pełnym nienawiści głosem.

Równocześnie zadał straszliwe pchnięcie, które an Thargan z trudem odparował. Królowa chwyciła za rękę Siłę Gór.

— Zróbcie coś, przecież on go zabije.

— Spokojnie — odparł flegmatycznie góral. — Da sobie radę.

Awe L'lim podniesiona na duchu spokojem olbrzymia, wróciła do równowagi i obserwowała pojedynek. Księżę, mistrz w walce na ciężkie, dwuręczne miecze, atakował ciągle z tą sarną furia, nie znać było po nim zmęczenia. A an Thargan sływał już kropiistym potem. „Trzeba kończyć” — pomyślał i podwoił szybkość cięć. Miecze wiły się w rękach przeciwników jak węże. Zadawali straszliwie szybkie ciosy i równie błyskawicznie je odparowywali. Szczęk oręża wypełnił salę, wtórował mu zdyszany oddech Leana. Wtem księżę rzucił się do przodu i odbijając miecz an Thargana, pchnął go barkiem i powalił na ziemię. Następnie wziął potężny zamach i z całej siły opuścił miecz na leżącego rycerza. Ten jednak przetoczył się po ziemi i ostrze trafiło w próżnię. Jednocześnie Lean pchnął mieczem swego przeciwnika w nieosłoniętą pancernymi blachami pachwinę. Ułamek sekundy wcześniej Retnian wypuścił zabójczą strzałę, i gdyby księżę nie rozplynał się w powietrzu jak obłok mgły, strzała ugodziłaby go w szyję. An Thargan leżał ciężko dysząc. Królowa podbiegła do niego.

— Panie, czy nic ci się nie stało? — zapytała z lekiem.

Rycerz nie mogąc wypowiedzieć słowa, zaprzeczył gestem. Retnian i Siła Gór podchodząc, zastanawiali się głośno nad całym wydarzeniem.

— Rozumiesz coś z tego? — zapytał Retnian. — Niemożliwe, żeby księżę dostał się tu za nami.

— Nie wiem — powiedział kręcąc głową góral, a an Thargan dodał: — To chyba sztuczka Sędziów.

— Chodźcie, idziemy dalej — ponaglał Siła Gór. — Do końca jeszcze daleko.

Znowu pograżyli się w mrocznych korytarzach, a Gorejący Diament nieustannie wskazywał im drogę. Kolejną bramę mijali z lękiem, ale za nią nikt nie czekał. Tym razem sala była olbrzymia, tak że nawet podniesiona przez Siłę Gór wysoko pochodnia nie oświetlała jej całej.

— Tam ktoś stoi — powiedział zduszonym głosem Retnian wskazując mrok.

— Gdzie? — spytała królowa. — Nikogo nie widzę.

An Thargan wyciągnął miecz i podszedł do Siły Gór. W tej chwili całą salę zalało jasne światło tak, że musieli zmrużyć oczy

— Stójcie! Nadszedł kres waszej drogi — zagrzmiąły chrapliwe słowa. Posłyszeli je, a dopiero później dostrzegli tego, kto je wypowiedział. Obcy stał w rozkroku na szeroko rozstawionych nogach i wspierał się o wielki promienisty miecz.

— Korn Kaan — wyszeptał ze zdumieniem Siła Gór. — Rycerz o głowie wilka.

Korn Kaan uniósł miecz i ruszył do walki, był tak ogromny, że szybkość, z jaką to uczynił, zaskoczyła ich. Teraz naprawdę stał się wilkiem, z pyska ciekła mu ślina, a gardło wypełniał mu wściekły warkot. Wargi odsłoniły długie, białe kły.

Po raz pierwszy w życiu Siła Gór zawahał się. Wykorzystał to an Thargan, który wyprzedził górala i pierwszy zmierzył się z potwornym przeciwnikiem. Dwa razy skrzyżował z nirn miecz. Następny cios Korn Kaana wytrącił mu oręż z dłoni i obalił na ziemię. Okrzyk przerażenia zamarł na ustach Awe L'lim, z szybkością błyskawicy dobyła swego miecza. Lekki, szlachetnej roboty brzeszczot pokrywały runy, mające zapewnić mu niezniszczalność. Rzuciła się jak zielony kot Grakh w kierunku Korn Kaana. Strach, jaki nappełnił serce Siły Gór pierzchnął niemal tak szybko, jak się pojawił. Wiedział, że gdyby pokonał potwora zyskałby nieśmiertelną sławę... Pobiegnął więc wymachując toporem, by zetrzeć się z rycerzem o głowie wilka.

Ocalił an Thargana, gdyż straszliwy rycerz nie mógł dobić powalonego przeciwnika zobaczywszy nadbiegającego górala. Przecinane mieczem Korn Kaana powietrze jęczało,

jakby skarżąc się na zadawane mu razy. Siła Gór unikał ich zręcznie czekając i czając się, aby zadać decydujący cios. Tymczasem królowa z Retnianem podbiegła do an Thargana.

— Nic mi nie jest — odparł wściekłym głosem rycerz na pytanie Awe. — Pierwszy raz ktoś wytrącił mi miecz z ręki.

Retnian podał rnu jego broń. An Thargan ruszył ku walczącym. Królowa podążyła za nim. Retnian ujął spokojnie łuk i sięgnął do kołczana po strzałę. Wilkołak zaatakował gwałtownie Siłę Gór i góral, mimo swego refleksu, nie zdołał uskoczyć, ledwie starczyło mu czasu, by zasłonić się toporem. Miecz Korn Kaana przeciął okute żelazem stylisko topora. Człowiek-wilk wyskoczył do przodu i z olbrzymią siłą uderzył górala w głowę rękojeścią swego miecza. Siła Gór przewrócił się jak ścięte drzewo, twarz zalały mu strumienie krwi. Wilkołak wydał dziki okrzyk radości, zamienił się on jednak w straszliwy ryk, gdyż strzała wystrzelona przez Retniana ugodziła go w oko. Korn Kaan dysząc chęcią zemsty uderzył na dziedzica Skalnego Gniazda. Zajęty walką nie spostrzegł zachodzącej go z boku Awe Lirin. An Thargan zimny i rozważny zwodził swego przeciwnika unikami, dokonywał cudów zręczności i siły parując ciosy potwora. Tymczasem królowa rozwścieczona po klęsce górala będącego jej nadzieją w starciu z wilkołakiem^ostanowiła zginąć w walce i choć ze łzami w oczach, ale ze śmiertelną determinacją w sercu cięła Korn Kaana w bark. Zaskoczony rycerz odsłonił się na ułamek sekundy i to wystarczyło, aby an Thargan wbił mu miecz w tchawicę. Z rany bryznęła czarna krew, a potem wszystko zniknęło — wilkołak rozpląnął się w powietrzu.

Retnian stał skamieniały trzymając w ręku napięty łuk. Lean i Awe L'lim patrzyli na siebie starając się uspokoić zdyszane oddechy. Siła Gór jęknął i nieznacznie się poruszył, Pobudziło to panią na Alimor do działania. Pochyliła się nad nim i otarła mu twarz chustą. Ranę zasmarowała maścią z ziół. Krew przestała płynąć, a miejsce z którego się wydobywała, pokryło się przezroczystym nalotem. Siła Gór otworzył oczy.

— Żyję? — spytał ze zdziwieniem.

— Tak, tak! — krzyknął radośnie Retnian i mówił daiej — an Thargan powalił wilkołaka.

Rycerz przerwał mu gestem ręki.

— Poeta jak zwykle koloryzuje. — I pokrótce opowiedział mu zaszłe wydarzenia, Siła Gór patrzył na nich z podziwem, a szczególnie na królową.

— Zioła te zasklepiają ranę — powiedziała Awe. — Ale długo nie odzyskasz pełni sił. Powiedz mi, kto to był? Wydawało mi się, iż wymieniałeś jakieś imię.

Siła Gór skinął głową.

— To Korn Kaan. W podaniach mego ludu zamieszkującego Czarne Wzgórza jest mowa o rycerzu o głowie wilka strzegącym krainy Spoczynku, aby nie dostał się do niej tchórz. Tylko niezłomni wojownicy mogli liczyć na to, że uda się im pokonać Strażnika.

— Ale przecież to tylko baśnie — odezwał się an Thargan.

— Tak? — spytał Retnian z przekąsem. — Wychodzi na to, że Siła po prostu rozciął sobie głowę, a to wszystko się nam śniło.

Królowa zadumała się.

— Te podziemne korytarze kryją w sobie niejedną tajemnicę. Próba jaką przebyliśmy, była chyba najbardziej niebezpieczna z przebytych. Baliśmy się wszyscy...

Siła Gór chciał zaprzeczyć, ale królowa spojrzała na niego z uśmiechem i góral zamknął otwarte już usta.

— O czym myślałeś wchodząc do tej sali? — spytała leżącego wciąż osiłka. Olbrzym uniósł się na łokciu i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Wszystko tu przypominało mi Krainę Spoczynku. Wspomniałem też Strażnika tej krainy...

An Thargan poruszył się niespokojnie, także Retnian zaczął pojmować sens dziwnych pytań królowej. Pani Alimor usłyszawszy odpowiedź górala zbladła i krzyknęła:

— O bogowie!

— Co się stało? — zaniepokoił się an Thargan.

— Przed wejściem do Labiryntu myślałam, nie wiem dlaczego o Sankilu, potwornym smoku. Bardzo często opowiadała mi o nim moja piastunka.

Retnian aż usiadł z wrażenia.

— No tak, mój sierżant gwardii książęcej to pestka przy tym potworze. Odezwał się an Thargan:

— Już rozumiem. W Labiryncie pojawiają się postacie stworzone przez wyobraźnię ludzi. Na szczęście ja myślałam tylko o księciu...

Królowa opuściła głowę.

— Przez moje głupie pomysły możecie nigdy stąd nie wyjść — powiedziała ze skruchą.

An Thargan pochylał się nad nią. Ujął ją delikatnie za rękę.

— Nie martw się, pani. Widzisz, Siła Gór już wstał. Wyjdziemy z tego cało. Góral uśmiechnął się do Awe. Stał na niepewnych nogach, opierając się o

Retniana. Ruszyli w głąb korytarzy, które wiły się i krzyżowały. Diament nieomylnie wskazywał drogę. Przed każdą większą salą ich czujność wzmagała się do maksimum. An

Thargan z Retnianem przeprowadzali zwiad, a dopiero później dołączyli do nich góral i królowa. W końcu przed nimi zajaśniała kolejna brama skalna. Znak, że zbliżali się do obszernej sali. Na kilkanaście metrów przed nią poczuli straszliwy odór.

— No, to chyba tu — odezwał się Retnian.

An Thargan spojrział na królową.

— Czy możesz nam Pani opowiedzieć, co wiesz o Sankilu? Awe Llim westchnęła cichutko i skinęła głową.

— Smok ten nie ma zbyt dobrego wzroku, ale za to wspaniały węch. W przeciwieństwie do swych baśniowych braci nie zieleje ogniem, ale posiada trujący jad, którym pluje na odległość wielu sążni. Najmniejsza nawet kropla jadu jest śmiertelna...

— Idziemy... musimy przejść — powiedział an Thargan.

Weszli do olbrzymiej pieczary. Mimo panującego półmroku widać było wszystko jak na dłoni. Pieczara miała kształt rotundy. Brama przez którą weszli, mieściła się u góry pod sklepieniem. Kilkanaście metrów w dół leżał na piasku i żwirze Sankil. Chyba spał. Od wejścia na dół wiodły wykute w skale schody. Pieczarę przecinała dość szeroka szczelina, płynęła nią podziemna rzeka. Przez szczelinę przerzucony był dziwny most. Było nim żywe drzewo, jego konary przyciskał olbrzymi głaz. Wygięty w łuk pień tworzył niepewną konstrukcję. Do drugiej bramy, która znajdowała się po tamtej stronie szczeliny, nie prowadziły schody, ale niezbyt strome usypisko. Wokół jaskini, tuż pod sklepieniem, biegła skalna półka, którą od biedy można było przejść.

— Nie czuje nas na razie — powiedział Retnian wskazując na skalny gzyms.

An Thargan skinął głową.

— Przejdziemy tędy.

Posuwali się powoli. Skalna półka okazała się tak wąska, że plecami wciskali się w ścianę. Ich wzrok wbity był w jeden punkt — leżącego Sankila. Czarna, o metalicznym połysku bestia zdawała się drzemać. Wydawała z siebie jakieś pomruki i westchnienia. W najgorszej sytuacji był Siła Gór, zgarbiony — gdyż przejście było dla niego za niskie — wyęczał wszystkie siły, by nie spaść w szpony bestii. Awe syknęła ostrzegawczo — przed nimi znajdowało się miejsce, w którym półka była najwęższa, w dodatku pod tym przewężeniem znajdowała się szczelina zjfiynająca ją rzeką. Siła Gór nie zdołał utrzymać równowagi i ześliznął się ze ścieżki. W ostatniej chwili schwycił się skalnego występu. An Thargan schylił się powoli i złapał górala za ubranie. Brakło mu jednak siły, by wciągnąć olbrzyma na górę. Retnian patrząc na to zareagował błyskawicznie, czepiając się zręcznie skał schodził na dół. Gdy znalazł się tuż pod wiszącym Siłą Gór, dał oparcie jego nogom na

swoich barkach i Siła Gór wykorzystując to znalazł się na półce. Ciężar jego był jednak tak olbrzymi, iż Retnian został zepchnięty wraz z lawina okruchów skalnych w przepaść. Ruch kamieni obudził bestię. Wyrwany ze snu Sankil nie wiedział, co stało się tego przyczyną. Trójka, pozostała na półce, z przerażeniem patrzyła jak poeta zsuwa się wprost do szczeliny. Jednakże Retnian czepiając się rozpaczliwie skał, ostatecznie wylądował na piasku. Zgubił, co prawda łuk i miecz, lecz choć oszołomiony upadkiem — żył.

An Thargan, Siła Gór i królowa posuwali się szybko do przodu, teraz nie mieli nic do stracenia. Potwór uniósł swoją olbrzymią trójkątną głowę — węszył. Co chwila wysuwał olbrzymie szpony wbijając je w piaszczyste podłoże. Retnian powstał i chcąc ratować przyjaciół, krzyknął. W jego stronę poszybował strumień czerwonej mazi. Tylko szybki unik uratował go od niechybnej śmierci. Zamiar odwrócenia uwagi od pozostałych powiódł się — potwór ich nie dostrzegł skupiając całą wściekłość na poecie. Retnian popełnił jednak błąd uciekając w kierunku przeciwnym niż mostek. A Sankil obracał się tylko w miejscu napelniając rykiem całą jaskinię i plując jadem. Rycząc przeraźliwie utrudniał sobie celowanie i poeta choć coraz bardziej zmęczony ciągle wymigiwał się śmierci.

Siła Gór był już u wyjścia, lecz tym razem nie wahał się ani sekundy. Zsuwał się po pochyłym zboczu na ratunek przyjacielowi. An Thargan pospieszył za nim. Awe L'lim stała w bramie wyjściowej jak skamieniała — była rozpaczliwie pewna zagłady zuchwałych Ziemian. Siła Gór przebiegł przez kładkę. Chwycił zgubiony przez Retniana miecz i gdyby nie wstrzymał go rycerz, pobiegłby wprost na smoka.

— Stój! Zginiemy wszyscy — krzyknął Lean i rozkazującym głosem dodał: — Wbij miecz w drzewo, tylko od spodu.

Góral popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale posłusznie przeszedł kładkę z powrotem i uderzając z rozmachem przebił drzewo na wylot. An Thargan tymczasem dawał znaki umykającemu poecie. Ten biegł klucząc i choć zbliżał się, to jednak widać było, iż jest u kresu sił. W ostatnim zrywie przebiegł most i rzucił się na głaz. Trujący jad znowu uderzył w próżnię. Retnian leżał chwilowo bezpieczny z trudem łapiąc powietrze. Sankil nadpełzał — pewny, że dopadnie swej ofiary.

— Teraz — krzyknął an Thargan i z całej siły zaczął pchać głaz. Siła Gór zaparł się krzepko nogami w ziemię i wyteżył mięśnie. Na skroniach wystąpiły mu żyły jak postronki — to na nim spoczywał ciężar zadania. Wysilek był tak straszny, że z nosa i ust górala popłynęła krew. Głaz ustąpił. Drzewo uwolnione odgięło się z olbrzymią siłą w drugą stronę, zatapiając ostrze miecza w cielsku smoka. Chlusnęła zielonożółta posoka i smok zniknął. Siła Gór otarł krew i powstrzymał Retniana, który chciał podziękować mu za ocalenie życia. Objął

ramieniem poeęę, obrócił go aby i on zobaczył coó, co wywołało uómiech na jego wargach. Oto dumna królowa Alimor podbiegła do rycerza i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ziemia i Alimor mają być wrogami? — powiedział góral. — To mi wygląda na pomysł tych s...

— Masz rację, przyjacielu i dlatego na przekór tym — tu Retnian zmiął w ustach słowo, jakiego użył nie krępując się góral — musimy się stąd wydostać.

Resztę drogi przebyli spokojnie, gdyż tak jak powiedział Retnian, sierżant gwardii nie stanowił żadnej przeszkody dla zmęczonych, ale bezlitosnych w swym mistrzostwie wojowników.

Na powierzchni powitał ich poranek — przyjęli to za dobrą wróżbę. Wyczerpani do ostatnich granic nie mogli dosięść koni. Udali się na spoczynek, by dopiero następnego dnia wyruszyć w kierunku wybrzeża.

Minął trzeci dzień od opuszczenia portu Gorat. Droga, którą prowadziła ich królowa, wiodła przez Puszcę Zachodnią. Rzadko wjeżdżali na główny trakt, częóciej przedzierali się leónnymi duktami. Awe L'lim znała widocznie te ostępy; wskazywała drogę bez wahania. Pani Alimor była niezmordowana, jechali bez odpoczynku zatrzymując się tylko na krótkie, konieczne dla koni, popasy. Retnian patrzył na nią z podziwem, gdyż sam znajdował się u kresu wytrzymałości, jednocześnie coó w zachowaniu królowej budziło jego nieufność.

Instykt Retniana podpowiadał mu, że Awe L'iim kryła jakąó tajemnicę. Jaką? — to pytanie zaczęło go nurtować tuż po wylądowaniu w porcie. Ledwie zeszli na ład, królowa i rycerz udali się na targ, by zakupić wierzchowce, a Retnian i Siła Gór odłączywszy się od nich skręcili do najbliższej tawerny. Po chwili wyszli z niej — znać było po nich, iż nawet nie spróbowali piwa.

— Czarno widzę — stwierdził Retnian.

Siła Gór przytaknął mu skinieniem głowy i powiedział: — Musimy szybko odnaleźć Leana i Awe.

Skierowali swe kroki w kierunku bazaru. Po chwili spostrzegli rycerza dobijającego targu z handlarzem koni. Opuóciłi razem gwarne targowisko i pojechali do bramy miasta. Wieóci, jakie poóyszał Retnian w tawernie, zatrwożyły Leana. Pan Skogan Re korzystając z nieobecności królowej ogłosił się Dziedzicznym Władcą Alimor i poprzez heroldów rozpowszechniał wiadomości o porwaniu królowej przez upiory Hatona. W tawernie szeptano także o tym, iż nowy Władca wysłał na trakty setki strażników, ludzie zachodzili w głowę, po co on to uczynił.

Awe L'lim wysłuchawszy tych wieóci, nie okazała najmniejszego wzruszenia.

Jedynym jej życzeniem było, aby podążali jak najprędzej do stolicy. Retnian domyślał się, że królowa chce znaleźć się możliwie prędko wśród swych stronników, by wydać przewrotnemu Skoganowi bezlitosną walkę. Poeta znając możnych ludzi dziwił się jednak obojętności, z jaką królowa przyjęła wiadomości o utracie tronu. W ciągu tych dni nawet bliski jej sercu an Thargan nie zdołał poznać planów Awe na najbliższą przyszłość. Tak więc gnali na złamanie karku omijając główne trakty, każda staja przybliżała ich do stolicy.

Wjechali na sporą polanę, widać było po koniach, że są u kresu sił. Królowa zarządziła postój. Rozmyślenia Retniana przerwał głos Siły Gór: — Głodny jestem!

Poeta spojrzął z ukosa na przeciągającego się bezceremonialnie górala i zapytał: — Czy była w twoim życiu taka chwila, kiedy nie odczuwałeś głodu?

An Thargan wyciągnął już z sakw podróжных żywność, a Siła Gór zabrał się do rozpalania ogniska. Retnian zaczął rozkulbaczać konie, bacznie przy tym odserwując królową, która nie zwracając uwagi na przyjaciół, szła w kierunku odległej ściany lasu.

Wtem drzewa poruszyły się, jak poruszają się źdźbła trawy rozgarnięte dłonią. Na polanę wyjechali dwaj rycerze. Zakuci w jasne pancerze, siedzieli na ogromnych koniach. Ciężar ich musiał być ogromny, ich kopyta zapadały się w twardą ziemię, jakby stapały po piasku. Jechali w kierunku królowej i coś w nieruchomych, sztywnych sylwetkach budziło grozę. Nagle, jakby na bezgłośną komendę wyciągnęli miecze i ruszyli zwawiej. Królowa stała nieruchomo. Retnian sam nie wiedząc kiedy, znalazł się na siodle swojego wierzchowca i wbijając ostrogi w brzuch, zmusił go do galopu — pędził jak wichur na ratunek pani Alimor. An Thargan i Siła Gór także spostrzegli niebezpieczeństwo i po błyskawicznym dopięciu popręgów ruszyli za Retnianem. Królowa wpatrzona w zbliżających się niesamowitych jeźdźców, dopiero po chwili usłyszała tętent za plecami.

Odwróciła się — zobaczyli jej bladą twarz, — krzyknęła:

— Stójcie! Ja muszę zginąć. Bądźcie posłuszni Sędziom.

Ziemiańskie wstrzymali konie. Siła Gór i Retnian ze strachem i nadzieją patrzyli na Leana an Thargan. Rycerz pochylił głowę, czuł się tak, jakby żelazne palce wrywały mu serce z piersi. Na dnie pamięci pojawił się czarny obraz: oto uchodził z płonącego Skalnego Gniazda tracąc wszystko, co może stracić szlachetnie urodzony. Oprócz życia. Wspomnił tę chwilę i uprzytomnił sobie jakże był wtedy nieszczęśliwy, teraz wydało mu się to po prostu śmieszne.

Za minutę, może dwie miał utracić wszystko, co może stracić człowiek ... Więc dobyć miecza? A Ziemia i Alimor? A to wszystko co przecierpieli jego przyjaciele, co przeżyła Awe? Czy miało to pójść na marne? Jak to powiedzieli Sędziowie — pomożemy Warn, o ile

udowodnicie, że jesteście godni, by znaleźć się znowu we Wspólnocie Galaktycznej... W duszy Leana potężniała wściekłość, zaczynał rozumieć swych przodków i ich lęk, a także nienawiść, jaką odczuwali do Sędziów. O, jakże okrutni i bezduszni są ci mieniący się Sędziami, czy naprawdę uczestnictwo w takiej Wspólnocie zdoła zbawić narody dwóch planet? Nie! Po stokroć nie! Potworna nienawiść eksplodowała w jego sercu. Zakrzyknął tak przeraźliwie, aż konie przysiadły na zadach:

— BĄDŹCIE PRZEKŁĘCI, ZBRODNIARZE?!

Spiął konia ostrogami i runął, nie bacząc już na nic i na nikogo, ku tej, która znaczyła dla niego tak wiele... Retnian i Siła Gór czekali na to hasło — puścili swe konie w skok. Poeta, wysforowany daleko przed przyjaciół dopadł królowej ułamek sekundy przed złowieszczymi rycerzami, pochylił się i uchwyciłszy Awe za pas — rozpacz dodała mu sił — przerzucił ją przez kulbakę. Nie było czasu na zawrócenie konia — Retnian przemknął obok potężnych rycerzy i pocwałował dalej. Tajemniczy jeźdźcy z trudem hamowali swe rozpędzone wierzchowce. Jednakim ruchem ściągnęli wodze i próbowali zakrecać, gdy wpadli na nich Lean i Siła Gór. Góral uderzył swojego ogromnego ogiera ostrogami i zderzył się z jednym z rycerzy. W jednej sekundzie Siła Gór i jego koń leżeli obaleni na ziemi, sługa Sędziów stratował ich i zawróciwszy pomknął za umykającym Retnianem. An Thargan był bardziej rozważny, nie dał się staranować, jego koń prowadzony wprawną ręką, w ostatniej chwili uskoczył i baron, doświadczony w wielu bitwach, zręcznie skoczył na siodło przeciwnika. Objął ramieniem jego szyję, drugą ręką sięgnął za pas p-j sztylet i nagle zdrętwiał: rycerz, którego zaatakował, nie poruszył się, jakby nie zauważając Leana i zamiast krtani, an Thargan wyczuł chłodny metal. To nie był człowiek.

Obezwładniony strachem rycerz chciał zeskoczyć z siodła, lecz furia bojowa przemogła lęk — splótł dłonie na rękojeściu sztyletu i z całej siły uderzył w żelazny czerep. Zobaczył błysk i omroczyły go ciemności. Rycerz z żalaza przewrócił się na ziemię sypiąc iskrami z miejsca, gdzie powinna znajdować się głowa. Jego koń obalony na bok przebierał bezsensownie nogami w powietrzu — jakby ciągle jeszcze w pełnym galopie.

Poeta widział to wszystko spoglądając przez ramię. „Muszę coś wymyślić, inaczej jestem zgubiony” — przebiegło mu przez mózg.

Koniec polany zamieniał się w bagnistą łączkę: w tym widział swoją szansę — być może ciężkozbrojny rycerz ugrzęźnie w błocie, podczas, gdy jemu na lekkim koniu i bez zbroi powinno udać się przejechać bagno. Był już w połowie bagienka, gdy stało się to, czego nie przewidział, koń zajęddzony podczas trzech wyczerpujących dni nie wytrzymał morderczego wysiłku i padł jak rażony gromem.

Poeta stał nieruchomo z Awe L'lim na rękach i z rezygnacją patrzył na zbliżającą się śmierć. Koń rycerza grzązł już powyżej kolan, ale ciągle posuwał się naprzód. Rycerz stanął w strzemionach, uniósł miecz... Poeta zamknął oczy. Zagłada jednak nie nadchodziła. Retnian ostrożnie zerknął spod wpół uchylonych powiek. Widok był niesamowity. O pięć kroków przed nim stał rycerz — nieruchomy zamieniony w żelazny posąg. Zapadał się coraz szybciej w bagno, nie czyniąc żadnego najmniejszego ruchu. Po chwili błoto bulgotało już wokół uniesionego wciąż miecza. A potem powierzchnia bagna wygładziła się nad grobem przerażającego jeźdźca i na polanie zapanował spokój.

W dobrą godzinę później u ogniska na polanie siedziały cztery ponure postacie. Milcząc patrzyły w płomienie. Najdrobniejsza z nich poruszyła się nagle i w poblasku płomieni można było dostrzec jej zalaną łzami twarz:

— Przeze mnie straciliśmy wszystko — głos Awe załamał się w łkaniu.

— O, nie, pani — zaprzeczył pewny siebie Retnian. — Uważam, że zdobyliśmy największe skarby, jakie można sobie wyobrazić.

Siła Gór wytrzeszczył oczy, oddychał z trudem. Bolały go zgniecione zębra i ze strachem pomyślał, iż Retnian zwariował.

— Czyż an Thargan nie posiadał rzeczy największej — miłości kobiety? A my zdobyliśmy coś — czego mnie najbardziej brakowało w życiu — szczerych przyjaciół. Srebrny Blask obiecywał chwałę — postaram się o nią dla was, nie będę szczędził pióra, by opiewać nasze przygody, a potomnym przekażę, kto jest prawdziwym wrogiem Alimor i Ziemi. Aby w przyszłości wiedzieli, kogo się wystrzegać i przeciw komu wspólnie należy walczyć.

— Ale jesteśmy biedni, jak ostatni nędzarze — mruknął nieprzekonany góral.

Retnian bez słowa sięgnął do swojego worka, gdy wyjął z niego ręce, w stulonych dłoniach błysnęły nieocenionej wartości klejnoty noszone niegdyś przez strażników Hatona.

Awe Llim spojrzała załzawionymi oczami na osłupiałą minę górala i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Po sekundzie zawtórowali jej Ziemianie: Siła Gór głośno, Retnian piskliwie, an Thargan uśmiechnął się tylko obejmując ramieniem Królową Alimor.



WILKI Z PALENK

— Zabij go! Zabij! — skandował rozentuzjasmowany tłum.

Gobiar, olbrzymi mężczyzna, którego mięśnie zdawały się rozsadzać skórę na klatce piersiowej stał w rozkroku nad powalonym przeciwnikiem. Grymas uśmiechu wykrzywił mu twarz. Wiedział, że rozwrzeszczana gawiedź domaga się śmierci leżącego. Bez wahania jego miecz przygwoździł pokonanego do ziemi. Ten charcząc i drąc rękami piach wyzionął ducha. Tłum zachwycony gestem Goblara rozszalał się jeszcze bardziej. Gdyby nie olbrzymie, grube paie otaczające plac ludzie pewnie porwaliby na ręce swego bohatera. Zawody zwane przez miejscowych Dakun, wzbudzały dzikie emocje. Tak jak Palenk słynęło ze swoich Wilków, tak księstwo Gadrin oyoło znane z Dakun.

Miejsca turniejów związane były z pobytem świątobliwego męża i maga Dakun Albarecha. Tylko tam, gdzie postawił swoje stopy i rzucił zaklęcie, mogły pływać w powietrzu olbrzymie drewniane dyski. Unosiły się one nad owalnym placem okolonym palami. Na ich powierzchni zamocowano ucnwyty na stopy, uzbrojonych tylko w miecze, zawodników. Dyskami nie można było precyzyjnie sterować, ugięcie nóg i gwałtowny przysiad powodowały odbicie się dysku jakby na sprężynie. Wychylenie ciała w którymś kierunku powodowało skierowanie tam dysku, choć nie zawsze — dyski poruszane magią Albarecha bywały kapryśne. Jedynie szybki refleks i pewna ręka, a nade wszystko dobrze umięśnione nogi decydowały o sukcesie. Stawką w zawodach było życie i cały majątek walczących.

Gobiar uniósł rękę, olbrzymia ciżba widzów ucichła. Ludzie usłyszeli to, co najbardziej chcieli usłyszeć:

— Przeznaczam całą wygraną dla was!

Tłum szalał — będzie można żyć beztrósco przez parę dni. jak nakazywał rytuał, heroldzi zaczęli uderzać w bębny i nawoływać:

— Czy jest jeszcze śmiałek, który stanie oko w oko z niezwyciężonym Go-blarem?!

Zaległa cisza, ludzie przezornie odsunęli się od ogrodzenia otaczającego plac. Znaleźć się tam w tej chwili nawet przypadkowo, znaczyło podjąć wyzwanie. Nagle przez ogrodzenie przeskoczył młody człowiek. Długie włosy spięte w koński ogon spadały mu na plecy. Dziecięcej twarzy przeczyły szerokie barki, były dowodem jego olbrzymiej sity.

— Kim jesteś przybyszu? — gromko zapytał Gobiar.

— Nazywają mnie Valkar — odparł młodzieniec. — O krainie skąd pochodzę, nikt tu

nie słyszał.

— Znasz zasady Dakun?

Valkar skinął głową, wyciągnął spod skórzanej kurtki pękaty mieszek i cisnął mu go pod nogi. Nawet stojący w oddali widzowie zauważyli rozsypujące się żółte krążki. Gobiar nerwowo oblizał spieczone usta, już dawno nie trafiła się taka gratka.

— Stawaj! — krzyknął. Chwycił miecz i w pełnym rozpędzie wskoczył na przelatujący dysk. Młodzieniec odrzucił pochwę miecza, wziął krótki rozpęd — wybił się do góry, w powietrzu wykonał przewrót, tak że trafił nogami prosto w uchwyty znajdujące się na drewnianej tarczy. Uderzony silnie z góry spadającym ciałem Valkara dysk, poszybował błyskawicznie wzwyż. Wśród ludzi przebiegł szmer uznania. To co zobaczyli zapowiadało emocjonującą walkę. Nie było łatwo wskoczyć na chyboczącą i szybko poruszającą się tarczę. Dysk Val-kara wspinał się wyżej i wyżej, by po chwili opaść. Gobiar tylko dzięki swojemu doświadczeniu uniknął ostrza miecza Valkara. Przywarł całym ciałem do swojego dysku. Niewielu śmiazków zdecydowało się wyjąć stopę z uchwytu na takiej wysokości. Teraz Gobiar znajdował się wyżej niż młodzieniec; jego tarcza opadała, szykował się do zadania jednego, jedyne go ciosu, który rozstrzygnąłby walkę.

Nagle dysk Yaikara pchnięty jego nogą, wystrzelił znowu w górę. Młodzieniec skierował go tak, by znalazł się za plecami Goblara. jednak podmuch wiatru obrócił i jego. Valkar wiedział teraz, że jedynym atutem jest zaskoczenie. Szarpnął się do tyłu, dysk wyrócił się i Valkar zawisł do góry nogami. W tym położeniu pchnął mieczem w kark zaskoczonego Goblara.

Zeskoczył z lecącego dysku. Dyszał ciężko, od wykonanej ewolucji bolał go kręgosłup. Drewnianą tarczę nie łatwo było przechylić, a co dopiero wyrócić. Tłum milczał. Gobiar był przez ostatnie kilkanaście lat bożyszczem tych ludzi i sama jego obecność zabezpieczała osadę przed Wilkami z Palenk. W końcu nie było co ukrywać: duża część ludności żyła dzięki niemu dostatnio.

Kapłan, który opiekował się placem Dakun podszedł do Valkara. — Chodź, wskażę ci drogę do domu Goblara. Jest on teraz twoja własnością.

Tłum rozstał się przed nim milcząc, nikt nie wiwatował. Valkar widział w ich oczach nienawiść i strach. Prawo gościnności było jednak święte, nikt nie ruszył obcego.

— Przybyszu — odezwał się kapłan. — Chcę ci dać dobrą radę, lepiej abys tu nie zostawał. Mimo, że jesteś gościem nie mogę gwarantować, że będziesz żył dłużej niż do wschodu słońca. Prawo wróżby jest nieubłagane — krewni Goblara zemszczą się krwawo:

Valkar skinął głową:

— Zaprowadź mnie panie do stajni.

Podeszli do domu Goblara. Był to wysoki budynek otoczony palisadą i wałem ziemnym. Gobiara miał tytuł atarana i sprawował żarząc przygranicznymi ziemiami z ramienia księcia. Domownicy i służba wiedzieli już, że ich pan nie żyje. Niewiasty smętnie zawodziły, zbrojni pacholki rzucały wściekłe spojrzenia na obcego. Jedynie obecność kapłana powstrzymywała ich przed zaatakowaniem Yaikara. Zamiast do głównego budynku skierowali się do zabudowań gospodarczych. One również sprawiały wrażenie czystych i zadbanych. Widać Goblar był nie tylko mężnym wojownikiem, ale również dobrym gospodarzem. W stajni Valkarowi od razu wpadł w oko rosły, o szerokiej piersi, kary ogier. Według słów kapłana był to koń rasy hokari — najlepszego rodzaju bojowych rumaków. Wart był majątek. O ile zwierzę to rzucało się w oczy, to wybór broni jakiego dokonał Valkar zrobił na kapłanie wrażenie. Młodzieniec wybrał czarny, długi łuk z drzewa barka i szarą niepozorną zbroję z kraju Mattann.

— Widzę przybyszu — powiedział kapłan — że rzemiosło wojenne jest dla ciebie chlebem powszednim. Wybrałeś to, co było najlepszego.

Yalkar wzruszył ramionami i powiedział:

— Biorę tylko to. Resztę zostawiam wdowie albo biednym. Jak zechcesz tak uczynisz, świątobliwy mężu.

Kapłan skinął głową i pomógł Yaikarowi wdziać zbroję, po czym zawołał na pacholki, aby przyprowadzili konia. Niespokojny ogier wierzgał i starał się gryźć, czterech ludzi z wysiłkiem go powstrzymywało. Kapłan ciekawie spoglądał na przybysza. Jak da sobie radę z rozszalałym zwierzęciem. Yalkar podszedł do konia, wyrwał pacholkom wodze, z całej siły uderzył zwierzę w brzuch i jednocześnie szarpnął za wodze. Ogier stęknął i przyklęknął na przednie nogi. Yalkar wskoczył na siodło i ścisnął rumaka udami z całej siły. Zwierzę przestało wierzgać. Kapłan już wiedział, że młodzieniec dysponuje nadludzką siłą. Potraktował konia hokari jakby to był zwykły muł pociagowy, no, no. Jeździec widząc zdumione spojrzenia obecnych, roześmiał się tylko. Do siodła przytroczył tarczę na której widniał herb Goblara: głowa smoka z płomieniami ognia w pysku. Potem sięgnął po hełm.

— Dokąd jedziesz, panie? — spytał kapłan. Yalkar oparł:

— Do kraju, który wy nazywacie Palenk — i znowu zaczął się śmiać widząc przerażoną twarz kapłana. Uderzony piętami rumak ruszył z kopyta.

Świtało. Zeskoczył z konia, rozkulbaczył go i spętawszy puścił na łąkę. Było chłodno, trawę pokrywała rosa. Rozejrzawszy się przysiadł na Granicznym Kamieniu. Omszały, zielonkawy leżał tu od wieków. Młodzieńcem wstrząsnął dreszcz, zimno zakradło się pod

skórzaną kurtkę. Przymknął oczy. Czekał.

Jechał już kilkanaście godzin bez odpoczynku. Drogi były coraz bardziej zniszczone. Lasy ustępowały miejsca ponurym granitowym skałom. Na horyzoncie rysowały się poszarpane szczyty gór. Ludzi na tym pustkowiu Yalkar nie zauważył. Domyślał się, że pewnie znajduje się już w Palenk. Nagle przed sobą zobaczył gromadę jeźdźców. Wszyscy oni mieli szare lub bure opończe z wilczych skór, błyszczał spod nich metal. Obserwował ich spod okapu hełmu — najwyraźniej nie mieli dobrych zamiarów. Dziesięciu z nich rozsypało się w szereg. W pewnej chwili wydobyli miecze i rzucili się z dzikimi okrzykami na Yalkara. Młodzieniec wyciągnął łuk i zaczął prażyć do jeźdźców. Każda trzystopowa strzała trafiała celu. Do Yalkara w pełnym galopie zbliżało się już tylko pięciu przeciwników. Odrzucił łuk, wydobył miecz i spiąwszy konia ruszył im na spotkanie. Pierwszego zabił sztychem w gardło. Reszta walczyła z wściekłością, lecz ostrożnie. Yalkar zadawał i parował ciosy, jego koń gryzł i kopał tocząc pianę z pyska. Jeźdźcy z Palenk tracili powoli przewagę i Yalkar poczuł, iż zdoła ich pokonać, i wtedy świsnął arkan owijając się wokół jego szyi; szarpnięcie ściągnęło go na ziemię. Na bezbronne ciało posypały się liczne razy. Stracił przytomność.

Pamiętaj Yalkarze, to nasza ostatnia szansa... nasz Oddział już prawie nie istnieje. Atak na Główną Bazę Sędziów Galaktycznych był szaleństwem wobec ich przewagi. To ostatnia możliwość dobrania się do skóry naszym śmiertelnym wrogom; gdyby udało się wykryć, gdzie schowano tajemnicę broni Alimor nawet tak nieliczni bylibyśmy groźni dla Sędziów. Ale ta planeta jest pod ciągłą obserwacją Galaktydów, dlatego też udasz się tam sam i bez broni. Odebrana zostanie ci nawet obręcz walki — Galaktyrizi nie mogą się dowiedzieć o naszym zainteresowaniu planetą! Gdyby to oni znaleźli broń Alimor, oznaczało by to ostateczny koniec marzeń o wolności... Yalkarze pamiętaj, że Palenk to jedno z dziwniejszych miejsc we wszechświecie. Można tam uwierzyć w czary i złe moce... Yalkarze strzeż się... strzeż się... strzeż...

Yalkar otworzył oczy — tak jak go nauczono podczas morderczych treningów hartujących ciało i umysł — powoli, czujnie. Starał się zobaczyć jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Tym razem jednak ostrożność ta była zbyt duża.

Yalkar leżał na wygodnym posłaniu w niskiej, drewnianej chacie. Przedwieczorne słońce oświetlało jedyną izbę wystarczająco jasno, by mógł dostrzec, że oprócz niego znajduje się w niej tylko odwrócona tyłem kobieta. Przyglądał jej się spod zmrużonych powiek. Układała jakieś dziwne przedmioty na dużym, kamiennym stole. Od czasu do czasu mieszała drewnianą chochlą w bulgoczącym kociołku ustawionym na ogniu sporego kominka. Wysoka, szczupła o kruczoczarnych włosach spływających miękką falą aż do

bioder, ubrana była w niebieską szatę, która swym pięknem i delikatnością dziwnie kontrastowała z topornością wnętrza. Obnażone, krągłe ramiona ozdobione były srebrnymi bransoletami dźwięczącymi lekko przy każdym ruchu kobiety. Yaikar patrzył na nią zafascynowany płynnością jej ruchów, wdziękiem z jakim odgarniała przeszkadzające w pracy czarne włosy i dumą bijącą z całej jej postaci.

— Napatrzyłeś się już, panie? — odezwała się nagle nieznajoma niskim głosem o ciemnej barwie. Leciutka chryпка nie szpeciła go, a przeciwnie dodawała jakiegoś niepokojącego uroku.

Zaskoczony Yaikar milczał przez chwilę, kobieta wyraźnie czekając na odpowiedź odwróciła się do niego twarzą i podeszła do łoża. Wlepił w nią zdumiony wzrok. Myślał, że nieznajoma jest młodą dziewczyną a teraz dostrzegł swoją Eiyłkę. Piękne, niebieskie oczy wspaniale kontrastujące z czarnymi włosami i niżej brwiami, okolone były siatką dość głębokich zmarszczek. Takie same :dy czały się w kącikach czerwonych ust nadając im wyraz znużenia i smutku. Dtuga szyja zachowała swą szlachetną linię, jednak zmęczona życiem twarz mówiła wyraźnie, iż młodość kobiety minęła już dawno. Nim Valkar zdołał wykrztusić choćby jedno słowo nieznajoma zrozumiała powód przedłużającego się milczenia swego gościa. Zagryzła wargi, potem w oczach jej pojawił się cień uśmiechu. Powietrze wokół niej zafalowało jakby z nagłą rozgrzane do wysokiej temperatury. Kontury zatarły się, postać zginęła na ułamek sekundy we mgle. Gdy ukazała się znowu, Yalkar poderwał się z łoża i złamany nagłym bólem w plecach opadł na nie bezsilnie. Przed nim stała śmiejąc się na cały głos młoda, a nawet bardzo młoda dziewczyna. Świeżość jej policzków, warg, prężność drobnych piersi nie pozostawiała żadnych wątpliwości — dziewczyna nie mogła mieć więcej niż osiemnaście wiosen. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni i w tym momencie, gdy pod palcami poczuł jedwabistość skóry, postać dziewczyny zniknęła we mgiełce. Valkar przetarł oczy. U łoża stała znowu nieznajoma, trzymał jej szczupłą dłoń. Trwało to chwilę, potem kobieta uwolniła delikatnie rękę. W zmęczonych źrenicach ciągle jeszcze migotały iskry śmiechu, ale twarz pozostała poważna.

— Kim jesteś, panie? — powiedziała spokojnie jakby nic nie zaszło. Valkar przewyciężył zaskoczenie i powiedział:

— Valkar, syn Orena, wędrowny rycerz.

— Jesteś albo bardzo odważny, albo... nierozważny — stwierdziła czarnowłosa kobieta. — Nosisz na tarczy znaki Księcia Gadrin i jedziesz sobie spokojnie głównym traktem Palenk — to przecież szaleństwo.

— A to dlaczego?

Kobieta popatrzyła na niego z ironią.

— Zaprawdę musisz przybywać z daleka, rycerzu inaczej nie zadawałbyś tak niemądrych pytań. Wilki z Palenk zaprzysięgły śmierć każdemu z domowników i wasali pana na Gadrin.

„No tak, teraz wszystko jasne” — pomyślał Yalkar. „Muszę lepiej poznać obyczaje tubylców, jeżeli mam przeżyć i wykonać zadanie. Do licha, chciałem wkroczyć do księstwa Palenk jako dzielny rycerz... — zgrzytnął zębami — udało mi się to nadspodziewanie...”

— A ty, pani, kim jesteś? — zapytał.

Kobieta zdawała się być urażona i zdziwiona pytaniem.

— Czyżbym nie przedstawiła się dostatecznie wyraźnie? Jestem Eliana pani na Harrane, Eliana TA KTÓRA WIE, jeżeli wolisz wiedźma Eliana.

„Czarownica” — przebiegło przez mózg Valkara. Obudził się w nim jakiś atawistyczny lęk.

— Ciesz się, że nią jestem — dzięki temu żyjesz. Wilki z Palenk nie mają zwyczaju pozostawiać niedobitego wroga.

Yalkar zmieszał się, policzki zapłonęły mu czerwienią.

— Wybacz pani — wybąkał. — Ocaliłaś mi życie. Jest twoje.

— Nie dawaj go tak łatwo — zaśmiała się Eliana. Nie oddawaj tak łatwo, bo... mogę przyjąć twą ofiarę. A teraz dodała innym tonem, — wypij to. — Podsunęła mu gliniany kubek.

Yalkar wychylił napój jednym haustem, ledwie oderwał usta od naczynia — spadł na niego ciężki sen.

Obudził się rankiem potwornie głodny. Pierwsze co zauważył, to śniadanie czekające już na niego na płycie kamiennego stołu. Wstał, ciało miał jeszcze obolałe, lecz panował nad nim całkowicie. Usiadł przy stole. Drzwi skrzypnęły i pojawiła się w nich Eliana. Chciał powstać, ale powstrzymała go gestem dłoni. Podeszła do stołu sprężystym, kocim krokiem, opadła na okryte skórą siedzisko. Yalkar jadł z apetytem, nawet żarłocznie/nie starając się ukrywać skrecającego mu kiszki głodu. Czarownica patrzyła na niego spod pół przymkniętych powiek, było w jej wzroku coś takiego, że jadł coraz wolniej, aż wreszcie jego szczęki zatrzymały się.

— O co chodzi, pani?

— To sam Ghelog mi cię zesłał, rycerzu — powiedziała Eliana. — Zaprawdę jesteś z daleka; z tak daleka, że moje myśli tego nie ogarniają. Wiedzie cię zemsta — tak jak i mnie... ty chcesz walczyć z Bogami Nieba...

Yalkar poderwał się na równe nogi — Eliana mówiła dalej jakby tego nie dostrzegła.

— ... ja tylko mam nadzieję odebrać z rąk złodziei dziedzinę, którą mi skradli.

Pragniesz odnaleźć coś, co ukryto bądź zagubiono przed wiekami...

Yalkar błyskawicznie sięgnął po ciężki topór służący do rąbania drewna.

— ... jeżeli znajdziesz to i wykorzystasz na zgubę bogów — twoja rzecz. By to jednak uczynić musisz pokonać moich wrogów.

Tu spojrzała na niego i pod jej wejrzeniem Yalkar uczuł, że gwałtownie zdrętwiała mu dłoń dźwigająca topór. Mimo wielkiego wysiłku nie udało się Yalkarowi utrzymać go w ręce. Szczękniętą o kamienne płyty podłogi.

— Oreź przyda ci się zapewne, i to niedługo, ja jednak jestem twoim sojusznikiem.

Zrozum to, Yalkarze!

Odstąpił o krok, by nabrać rozpędu i wtedy dotarł do niego sens wypowiedzianych przez czarownicę słów.

— Sojusznikiem? — powiedział niepewnie.

— Tak. Na granicy Palenk i Litterny znajduje się Uroczysko Har. Wiele, wiele lat temu opanował je Albarech, przeklęty mag i kapłan Czarnej Religii...

— Albarech? Ojciec Dakun?

— Tak. Ale Dakun to tylko jarmarczne sztuczki, prawdziwe oblicze odsłonił dopiero tutaj. Opanowawszy Uroczysko spowodował wypędzenie mnie z mojej siedziby — Harrane. Fanatycy jego wiary spalili fortecę. Teraz mieszkają tam tylko nietoperze... Uroczyska strzegą wojownicy będący jednocześnie kapłanami Wiary. Do Albarecha dopuszczają pątników dokładnie sprawdzonych, żaden rycerz ani czarownik nie przedostanie się do tego... — zmięła w ustach jakieś przekleństwo. — Chyba, żeby był spoza świata...

Yalkar już ochłonął. Usiadł przy stole i spojrzał prosto w oczy Eliany.

— Rozumiem twoją chęć zemsty. Ale dlaczego uważasz mnie za sojusznika?

Albarech mnie nie interesuje...

— Też coś! — prychnęła Eliana. — Albarech to klucz do rozwiązania twojej tajemnicy. A w każdym razie tylko on może coś wiedzieć. A nie powie tego z dobrej woli. Albarech wie dużo, choć nie wszystko. Tego, że Eliana dziedziczka z Harrane ukrywa się w pustelniczej chacie ledwie o trzy dni drogi od Uroczyska, nie odkrył. Albarech nazywa siebie Powiernikiem Strachu — dodała pozornie bez związku.

Yalkar drgnął. Tak, to mógł być właściwy trop.

— I pokonamy go we dwoje? — spytał z powątpiewaniem. Czarownica, uwolniona

jakby z nagła od trosk, roześmiała się w głos.

— Wspomoga nas demony. Demony czarne jak noc, choć o wiele jaśniejsze od upiorów Albarecha. Towarzyszyć nam będzie czternastu ludzi — moi domownicy jeszcze z Harrane.

— Powiedz mi o pani, skąd wiesz o mnie tyle? — spytał zabierając się do przerwanego śniadania.

— Czyż nie jestem TA, KTÓRA WIE? A poza tym — uśmiechnęła się figlarnie — napar prawdy potrafi zmusić do opowiedzenia przez sen najgłębszych nawet tajemnic...

Słońce stało już wysoko, promienie padały niemal pionowo na ziemię. Dawno już zdjął kurtę, mimo to spływał potem. Południowy skwar dawał się we znaki wszystkiemu co żywe — ptaki przestały śpiewać obezwładnione upałem, zwierz leśny skrył się w gęstwinie, a martwy upał ciągle rósł. Wreszcie młodzieniec zaszył się w krzaki czując, iż nie wytrzyma ani chwili dłużej na słońcu. Tak, tu było przyjemnie, tyle tylko, że leżąc nie mógł obserwować tej jedynej drogi wiodącej z południa na polanę. Unosił się więc co chwila na łokciu, coraz rzadziej i bardziej ospale. Wreszcie zrezygnował z tego nasłuchując tylko tętentu konia. Owady brzęczały usypiająco, zmęczone upałem powieki opadały coraz niżej. Jeszcze chwila i głęboki oddech uniósł pierś czekającego. Spał.

Vaikar wstał z posłania i wyszedł przed chatę. Przed zabudowaniami stała Eliana. Ręce miała rozłożone szeroko, tak jakby chciała nimi objąć wschodzące słońce. Usta jej poruszały się bezdźwięcznie. Potrząsnął głową, wydawało mu się przez chwilę, że z jej palców trysnęły kolorowe promienie. Czarownica odwróciła się nagle i zobaczyła młodzieńca.

— Valkarze — powiedziała — szykuj się do drogi. Już wkrótce wyruszamy. Pani Słońca Etina użyczyła mi łaskawie swoich sił. Nie powinieneś był tego oglądać.

— Eliano, każdy ma swoje tajemnice. Ja twoich nie jestem ciekaw — odparł Yaikar. Weszli z powrotem do izby. Eliana podała młodzieńcowi miecz.

— Jest twój. Tak, to ten sam. Twój koń także ocalał.

Na polanie usłyszeli jakieś podniesione głosy. Valkar ujął oręż w dłoń.

— Spokojnie — rzekła kobieta przytrzymując go za ramię. — To moi ludzie. Idź już Yalkarze, zaraz wyruszemy.

Przed chatą stało kilkanaście koni i tyluż mężczyzn. Poznał po ich zachowaniu, że rzemiosło wojenne nie jest im obce. Dumne spojrzenia i szlachetne rysy twarzy nie pasowały do ich wieśniaczych strojów. Byli to nieodrodni synowie kraju Palenk, wysocy, potężnie zbudowani a jednocześnie szybcy i zwinni. Najwyższy z nich podszedł do Valkara.

— Witaj — pozdrowił go. — Jestem Torwid, dowódca drużyny Eliany. Słyszałem, że pokonałeś Goblara. Chwała ci za to.

Wypowiedź jego przerwał ruch przed obejściem. Wszyscy mężczyźni klękli na jedno kolano dotykając kułakiem lewej piersi. W drzwiach ukazała się Eliana, pod postacią pięknej dziewczyny o długich czarnych warkoczach. „Naprawdę cudowna” — przemknęło Valkarowi.

— Witaj Eliano — zakrzyknęli gromko wojowie.

— Witajcie, Hakka Eti! — zawołała.

— Hakka Eti! — odkrzyknęli mężczyźni.

„Zaprawdę” — myślał Valkar przyglądając się pięknej dziewczynie rzucającej skry z oczu— „jakże silna musi być jej władza”.

Eliana ubrana w strój męski uśmiechała się radośnie — nadchodziła jej godzina.

— Na koń! — krzyknęła.

Mężczyźni wskoczyli na siodła. Już po chwili pędzili co koń wyskoczy. Val-kar jechał tuż koło Eliany, widział jej zaróżowione od wiatru policzki, rozchylone wiśniowe usta i warkocze lśniące czernią. Czuł, że ogarnia go dziwne uczucie, którego nigdy przedtem nie zaznał..

Jechali dosyć długo, aż w końcu nawet wytrzymały Valkar poczuł zmęczenie. Zatrzymali się wreszcie na popas. Rozkubaczyli konie, jeden z wojowników został przy nich, reszta stanęła na czatach. Eliana podeszła do Valkara.

— Dziwisz się pewnie dlaczego się spieszymy? Młodzieniec zaprzeczył ruchem głowy i odparł:

— Dziwi mnie co innego. Czy twoja drużyna nic nie będzie jadła? Dlaczego wszyscy stanęli na czatach. Na pewno są również zmęczeni. Czeka ich ciężki bój. Lepiej niech odpoczną.

Eliana uśmiechnęła się tylko:

— Im nie są potrzebne ani sen, ani jedzenie.

Usiedli oboje w wysokiej trawie. Eliana poczęstowała Valkara suszonym mięsem, dała mu kubek z winem. Jedząc słuchał opowieści czarownicy.

— Zauważyłeś, że jadąc przez kraj nigdzie nie widzieliśmy ani zabudowań ani drogi. To nie sprawa bliskości granicy. Palenk jest wtłoczone pomiędzy trzy wielkie księstwa: Gadrin, Mattan i Litternę. Mimo, że władcy formalnie są przyjaźnie do siebie nastawieni księstwa są mocno zwaśnione, a Palenk jest w stanie wojny ze wszystkimi.

— Jak takie małe państwo daje sobie radę z potężnymi przeciwnikami?

— To proste. Palenk to góry, wysokie i jeszcze wyższe. Nie znam wodza, który by chciał się zapuścić w mroczne, wąskie wąwozy. Tak więc Wilkowie mogą spokojnie hodować swoje owce, a ich kobiety tkać maluk, tkaninę z której tylko władcy szyją sobie szaty. Wilkowie trudnią się nie tylko hodowlą i kupiec-twem, podstawę ich utrzymania stanowią zbrojne wyprawy na sąsiednie państwa. Gdy jednak wróg wkroczy w granice kraju, Wilkowie nie stają do otwartej wojny. Ich sposób walki to podstępny cios i nagły unik. Nie ma tu arystokracji, wszyscy są równi wobec miecza. Jedynie na wyprawy wojenne wybierają wodza, którym może zostać każdy. Jest jeszcze coś, co wstrzymuje obcych przed wkroczeniem do tego górzystego kraju. Tu ściągają czarownicy, magowie ze wszystkich stron. Znajdują spokój. Wilkowie szanują ich i bez potrzeby nie niepokoją. Gdy zajdzie potrzeba czarownicy pomagają mieszkańcom. W świecie czarów istnieją zasady, których łamać nie można. Magowie nie walczą między sobą. Gdy do Palenk przybył Dakun Albarech myślałam, że to jeden z nas.

Okazało się, iż nie uznaje on żadnych praw i obyczajów. Podstępnie pozbawił mnie mojej dziedziny i osiadł na uroczysku Harrane. Długo czekałam na moment zemsty, aż wreszcie nadszedł... — długi monolog przerwało chrapanie Valkara. Eliana uśmiechnęła się i przykryła młodzieńca derką. Potem wstała i pogрузzyła się w mroku.

Eliana wpadła w trans — leżąc wśród traw miała czuwać nad poczynaniami drużyny. Walka na śmierć i życie — tak brzmiały jej ostatnie słowa. „Zaczyna się” — myślał młodzieniec. Nie chciał walczyć z Albarechem. Jego zamiarem było porozmawiać z tym dziwnym starcem — może wystarczyłoby to, aby wydostać tajemnicę broni Alimor.

Eliana uprzedziła go — na uroczysku nikt nie ma prawa przebywać z bronią i dlatego miecz musiał schować pod długą skórzaną kurtą. Uroczysko Harrane znajdowało się w głębokim wąwozie, przez który płynął strumyk. Jeden jego brzeg zmienił się w bagnisko. Dom Albarecha był jednopiętrowym, sporym budynkiem przyklejonym do skalnych ścian głębokiego wąwozu. Rosnące gęsto sosny, modrzewie tworzyły nad wąwozem nieprzeniknioną czaszę. Uroczysko zalegał wieczny półmrok. Bazaltowe ściany porastał siwy, długobrody mech i liczne, olbrzymie paprocie.

Milczący tłum pątników jaki stał przed domem wsłuchiwał się w grzmiący głos — dobiegał on ze wszystkich stron.

— ... suka Eliana sprowadziła zabójcę z zaświatów, z czarnej pustki odwiecznego wroga Dakun Albarecha.

„Nie jest dobrze” — pomyślał Valkar. — „Bierze mnie za kogoś innego. Muszę się z nim porozumieć nim będzie za późno”.

Wrota domu stały otworem, trzeba było jednak tam dotrzeć. Aby to uczynić musiał przebić się przez podekscytowany tłum. Widział w nim wojowników Torwida. Zaczął bezceremonialnie przepychać się w kierunku domu. Pątnicy poszturchiwali go, dawali kuksańce. Najwyraźniej nie podobała się im gorliwość młodzieńca. Ktoś go popchnął, ktoś szarpnął za kurtę, błysnął miecz, rozległ się ostrzegawczy krzyk. Valkar spostrzegł Torwida dającego jakieś znaki swojej drużynie. Kubraki wojów Eliany zmieniły się w dziwne skrzzące się tęczą barw zbroje. Widniał na nich symbol słońca i tajemne znaki. W rękach drużyników pojawiły się długie, zakrzywione miecze. Valkar wydobył swój, wiedział co teraz nastąpi. Przypomniał sobie wypowiedziane przez Elianę słowa i dźwięczącą w nich nienawiść:

— Albarech ze swoimi wierzeniami i Czarną Religią nie znalazł uznania wśród magów z Palenk, ale my nie możemy pierwsi wystąpić przeciwko niemu. Muszą to zrobić sami ludzie. Im więcej zginie pątników, tym mniej zostanie mścicieli Albarecha.

Zaczęła się rzeź, wojownicy Torwida wyrąbywali dla Valkara przejście w masie bezbronnych ludzi. Biegł potykając się o odrąbane kończyny i ślizgając się we krwi.

— Hakka Eti! — krzyčeli Torwid i jego towarzysze, rzucając się w szarą skłębioną masę ludzi. Valkar był już niedaleko wierzei, gdy te zatrasnęły się z głuchym hukiem. Nad głowami walczących leciały w kierunku domu złote błyskawice chwytane tuż przed nim przez czarne pnącza wyrastające z okien domu. Eliana i Albarech rozpoczęli swój pojedynek. W dłoniach bezbronnej dotąd cizby pojawiły się miecze i topory. Ludzie rzucili się na wojowników Torwida i Valkara. Teraz oni sami musieli walczyć o życie. Nad ich głowami zderzały się i wybuchały złote i czarne błyskawice, tworząc szary dym, który powoli napełniał wąwóz. Ludzie Torwida nie cofnęli się ani o krok. Valkar przyłączył się do nich. Pątnicy otoczyli ich murem. Valkar zdawał sobie sprawę, że jedyna nadzieja w Elianie. Im bliżej był śmierci, tym częściej wracał myślami do dziewczyny. Mimo chaosu jaki panował na polu bitwy zaobserwował, że rany wojowników Torwida w ogóle nie krwawią a na ich twarzach nie widać wcale zmęczenia. On natomiast był u kresu wytrzymałości. Ramiona omdlewały mu od ciągłych pchnięć i odparowań ciosów. Nagle pątnicy nie zwracając uwagi na zadawane im rany rzucili się na drużynę Torwida. Powoli przestawały działać czary Eliany, wojownicy padali jeden po drugim dosłownie rozszarpywani na strzępy.

„Czyżby już koniec?” — pomyślał Valkar. Nagle zobaczył lecącą w kierunku domu złotą kulę. Gdy uderzyła w mury domostwa, na uroczysku zabłysło tak jakby pojawiło się pod konarami drzew małe słońce. Olbrzymi kłęb szarego dymu spłynął do wąwozu, przez moment nic nie było widać na wyciągnięcie ręki. Valkar rzucił się do ucieczki, przedzierał się przez

cizbę ludzi tnąc i siekąc na lewo i prawo.

W głowie zabrzmiał mu cichy głos Eliany: „Valkarze, udało mi się sparaliżować Albarecha, trzymam go w sidłach mych czarów... Spieszcie się, nie wytrwam długo...”

Zagryzł w rozpaczę wargi, Eliana nie wiedziała, że atak zakończył się klęską. Był już daleko w lesie, słyszał za sobą odgłosy pogoni. Pędził na oślep byle dalej od uroczyska i miejsca gdzie spoczywała Eliana — pątnicy nie mogą jej znaleźć! Zdyszany wpadł na leśny dukt i zatrzymał się — drogą nadciągał oddział zbrojnych. Konni, już z daleka można było rozpoznać skóry Wilków. Val-kar podbiegł w ich kierunku. Dostrzegli go i zwolnili, jego uszu dobiegły okrzyki:

— Wilkołak!

— Leśny morderca!

— Patrz Legen, a nie wierzyłeś w upiory!

Niewysoki człowiek nazwany Legenem naparł koniem na Valkara nie dobywając jednak miecza.

— Kim jesteś, człowieku?

Nim Valkar zdołał odpowiedzieć, z lasu wybiegło dwóch ścigających go fanatyków. Zaślepieni nienawiścią, a może czarami Albarecha nie zwrócili uwagi na rycerzy Palenk; z pianą na ustach i wściekle wytrzeszczonymi oczyma biegli by dokonać krwawej egzekucji na kompletnie wyczerpanym młodzieńcu. Legen obserwował to ze zmarszczonymi brwiami. Po sekundowym namyśle skinął niedbale lewą dłonią. Zza jego pleców wypadli dwaj jeźdźcy, jednakim gestem dobyli dwuręcznych mieczy i w pełnym galopie dopadli biegnących. Słudzy Albarecha nie zdążyli zastawić się toporami ani uchylić. Jeźdźcy zawrócili wkładając miecze do pochew. Ujęli w dłonie krótkie włócznie i przejeżdżając obok drgających, bluzgających krwią ciał przybili je do pokrytej liśćmi drogi.

— Kim jesteś, człowieku?

Uśmiech wyglądał upiornie na pokrytej krwią twarzy Valkara, gdy ten skłonił się i powiedział:

— Nazwaliście mnie wilkołakiem, niech tak zostanie.

Legen poważnie skinął głową.

— Wygląda na to, że ci ludzie mieli do ciebie jakiś żal — stwierdził lekkim tonem.

— Ich pan także mnie nie kocha.

— Albarech? Dlaczego? — w głosie Legena obudziła się czujność.

— Moja drużyna zakłóciła spokój uroczyska. Chciałem go zobaczyć wbrew jego woli i — dodał twardym głosem, — jeżeli trzeba by było, zabić.

Wśród Wilków zapanowało poruszenie, twarz Legena pobladła; zmusił konia by odstąpił o krok od Valkara.

— Jesteś zgubiony i przeklęty! Magowie nie darują takiej obrazy!

— Boicie się Albarecha? A to? — Valkar wskazał kciukiem prawej dłoni za siebie.

— Mamy prawo zabić każdego, kto pojawi się z mieczem na naszej drodze. Nawet słudzy Albarecha nie stanowią tu wyjątku, ale zadzierać z samym magiem... to głupota.

— Magowie gromadzą olbrzymie skarby, Albarech ma ich pełne wory... W oczach przywódcy Wilków zapaliła się iskra, zaraz jednak zgasła.

— Co martwemu po bogactwie... Zejdź z drogi! Albarech może i na nas wyrzucić swoją pomstę.

— Jeszcze chwilę — Valkar złapał konia Legena za wodze. — Czy znasz Elianę?

— Eliana thir Harrane? Pani Czarnej Magii, już mój pradziad musiał ją przebłagać... Czy i z nią wojujesz, nieszczęsny?

— Eliana, pani na Harrane walczy teraz z Albarechem. Mag jeszcze żyje, ale jego upiory są sparaliżowane mocą TEJ, KTÓRA WIE.

— Chcesz powiedzieć, że Albarech jest bezsilny? Że jego czary nie porażą moich Wilków?

— Albarechowi pozostali tylko jego zbrojni. Około półtorej setki. Ale... czas ucieka, a wynik walki nie jest jeszcze rozstrzygnięty. Kto zginie, Eliana czy Albarech zależne jest od waszych mieczy.

— Oboje są warci, by obejrzeć Krainę Cieni... — mruknął Legen. — Ale jeżeli sprawy mają się tak jak mówisz — dobrze! Powiedz mi jednak, dlaczego tak ci zależy na pokonaniu Albarecha.

— Was pociągają jego skarby, Elianę zemsta, a mnie jego wiedza.

— Wiedza magów, stąpasz niebezpieczną ścieżką... Moi ludzie pójdą z tobą pod jednym wszakże warunkiem. Oto on: zostaniesz naszym Wodzem!

Valkar osłupiał. Co to miało znaczyć? Jemu ofiarowują najwyższą godność? Ton głosu Legena świadczył, iż mówi poważnie...

— Będę waszym Wodzem — powiedział uroczyście.

— Drzewa i góry słyszały! — zawołał gromko Legen. Sześćdziesięciu Wilków dobyło mieczy, ich okrzyk wstrząsnął lasem:

— Wilkołak naszym Wodzem!

— A teraz opowiedz nam o tym co zaszło — powiedział rzeczowym- głosem Legen.
— Musimy opracować jakiś plan.

Obudził go głośny świergot, tuż nad nim na gałęzi siedział nieprawdopodobnie kolorowy, małeńki ptaszek. Uniósł głowę chcąc mu się lepiej przypatrzeć, spłoszony ptak przerwał swój trel i odleciał. Wstał, przeciągnął się aż trzasnęło mu w kościach. Potem wyszedł na polanę, wspiął się na Graniczny Kamień i przysłaniając dłonią oczy — słońce kłoniące się ku zachodowi raziło niemiłosiernie — dłuższą chwilę wpatrywał się w dal. Potem z westchnieniem zeskoczył z Kamienia — droga była pusta aż po horyzont. Rosnący głód przypomniał mu, że od rana nie miał nic w ustach, sięgnął więc do juków. Wyciągnął kawał wędzonego mięsa i butelkę czerwonego wina. Jadł jednak bez apetytu, niepewność zakradła się do jego serca i nie dawała mu spokoju. Odłożył jedzenie i znowu wspiął się na Kamień. Po chwili zniechęcony opuścił dłoń. Usta wykrzywił mu gorzki grymas, pięści zacisnęły się w kulaki. Nic. Nic.

Plan był prosty i jak się okazało skuteczny. Oto dwudziestu Wilków zaata- kowało jak przedtem drużyna pani na Harrane. Doprowadzeni wściekłością do oblędu pątnicy i kapłani Albarecha, rzucili się na nich od razu, gdy tylko pokazali się w zasięgu widoczności straży.

Wilkowie na zwinnych koniach prowadzili nierówny pojedynek — każdego z nich atakowało kilku przeciwników. Zaprawieni w bojach rycerze Palenk dawali krwawą nauczkę strażnikom uroczyska, już jednak po chwili mieli odcięty odwrót i nadzieja ocalenia musiała by zgasnąć w ich sercach, gdyby nie... gdyby nie to, że czterdziestu pozostałych Wilków brnąc po uda w moczarach obchodziło strażę, by uderzyć z tyłu na obrońców. Mimo największej ostrożności i zrzucenia pancerzy trzech utonęło w bagnisku, reszta jednak zdążyła na czas ocalając życie tych, którzy zaatakowali pierwsi. Obrona uroczyska pękła, walka przeistoczyła się w szereg zaciętych pojedynków — rąbano się bez litości ciężkimi toporami, dźgano włóczniami bądź cięto dwuręcznymi mieczami. W ciemnościach uroczyska brzmiał szczełk oręża, wrzaski fanatyków czarnej religii i zagłuszający wszystko bojowy okrzyk rycerzy z Palenk brzmiący jak wilcze wycie. Trup padał gęsto, krew płynęła korytem świętego strumienia. Szczepione konarami drzewa patrzyły w milczeniu na tę straszliwą kośbę. Valkar przebił się do wierzei budynku spod progu którego tryskał święty strumień. Za nim postępował Legen i pięciu czy sześciu umazanych krwią i błotem Wilków. W małych drzwiczkach umieszczonych obok bramy stanęli dwaj olbrzymi kapłani w czarnych, obszernych płaszczach i naciągniętych na twarze kapturach. Dzierżyli topory na długich drzewcach. Wilkowie osłaniający Valkara i Legena rzucili się na nich wywijając mieczami. Stojący nieruchomo kapłani zareagowali błyskawicznie: dwa głuche jęki i dwa ciała Wilków zwały się na mech rozrąbane aż po piersi. Reszta odskoczyła, Wilkowie nie popadli w panikę. Rzucili w stojących w ponurym milczeniu wojowników Albarecha nożami. Odbiły się

one od ukrytych pod płaszczami zbroi nie robiąc żadnego wrażenia na kapłanach. Wilkowie ustawili się w szereg z Valkarem i Legenem w środku i jeszcze raz runęli na wroga. Topory śmignęły w powietrzu — jeden z nich odbił się od miecza Valka-ra, wytrącił mu go z rąk i ściał ramię postępującego obok młodego Wilka. Val-kar skoczył na kapłana nim ten zdążył unieść topór ponownie. Szczepili się w śmiertelnym uścisku i padli na ziemię. Topór drugiego kapłana utkwił na sekundę w ciele innego Wilka, ta sekunda wystarczyła by Legen wbił w trzewia Czarnego Strażnika swój miecz. Ten padł nie wydawszy jęku. Legen uderzył z góry olbrzyma duszącego Valkara i wybiwszy drzwi z zawiasów wpadł do izby. Przy wygasłym ognisku na okrytej skórą kamiennej podłodze siedział białowłosy starzec. Legen zamierzył się do śmiertelnego sztychu.

— Legen! Nie!!

Za późno, ostrze wbiło się w plecy siedzącego, starzec jak szmaciana kukła zwałił się twarzą w popiół ogniska. Valkar podszedł do niego, przyklęknął a potem wściekle spojrzął na ocierającego miecz Legena.

— To był Albarech, Wilku!

Legen spojrzął z zainteresowaniem na trupa i powiedział przepaszająco:

— Chyba uniemożliwiłem ci poznanie tajemnic maga, wybacz Wilkołaku. Pójdę teraz dopilnować zbierania łupów.

Valkar pozostał w izbie sam. Otarł pot z czoła, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na trupa i wyszedł z domu. Elianę znalazł tam, gdzie ją pozostawił. Leżała patrząc pustym wzrokiem w niebo. Przysiadł przy niej, bał się dotknąć — wyglądała jak martwa. Dopiero po chwili dostrzegł jak oddech porusza jej piersi. Twarz lekko się zaróżowiła, wróciło w nią życie. Zauważył, że w jej kruczonych włosach pojawiły się srebrne nitki. Walka z magiem musiała drogo kosztować panią na Harrane. Poszedł do najbliższego strumyka, nabrał wody w pogięty hełm. Wróciwszy obmył delikatnie twarz kobiety. Głębokie westchnienie wydarło się z jej piersi, ciemnoblękitne źrenice spojrzały przytomnie w twarz Valkara.

— Udało się?

— Tak i nie. Albarech zginął w bitwie.

— Jak to?

— Pomogli mi Wilkowie z Palenk. Albarech zginął przypadkiem. Ludzie Torwida polegli — dodał po chwili.

Eliana usiadła, wzięła w dłonie hełm i przechyliła go do ust. Piła długo.

— Jak ci się udało zmusić do walki Wilków?

— Skusiły ich bogactwa Albarecha.

— Ciekawe... a kto jest ich wodzem?

— Ja. Wybrali mnie... Eliana zaśmiała się.

— No tak, teraz wszystko jasne. Nie znasz obyczajów Palenk. Widząc nic nie rozumiejące spojrzenie młodzieńca mówiła dalej:

— Rycerze Palenk mimo swej chciwości i przysłowiowego bogactwa magów, rzadko ryzykują napad na czarnoksiężników. Wzajemnie, panowie czarów nie naprzykrzają się zbyt Wilkom. Czasami zdarza się, że rozejm jest łamany — Wilkowie obierają wtedy kogoś wodzem, aby w razie niepowodzenia wyprawy móc zrzucić cały ciężar winy na niego i przykładowo ukarać. Zazwyczaj ścinają takiemu nieszczęśnikowi głowę, wierząc, że to przebłąga rozjątrzonego napaścią maga.

Valkar zrozumiał teraz scenę jaką rozegrała się na leśnej drodze. Przebiegł go dreszcz — Wilkowie, którzy mu towarzyszyli nie byli strażą, lecz ewentualnymi katami na wypadek niepowodzenia...

— Ale zwyciężyliście, nie musisz obawiać się Wilków.

Przymknęła oczy, na jej twarzy odmalował się wysiłek. Trwała tak chwilę. Potem zerwała się na równe nogi.

— Wilkowie są niegroźni, ale ze wszystkich stron ciągną fanatycy Czarnej Religii. Są ich setki, to sprawka Albarecha, wezwał ich przed śmiercią.

Zachwiała się, Valkar objął ją w talii i przytrzymał. Uśmiechnęła się słabo i powiedziała:

— Zemściłam się i teraz mogę objąć na nowo swoją dziedzinę, ale pojedę do Harrane tylko po to, aby pożegnać jego mury... a potem jeżeli zechcesz, pójdę z tobą... tak daleko jak tylko zechcesz, choćby poza świat.

Valkarowi zawirowało w głowie, pani na Harrane będzie z nim, będzie towarzyszyć mu wśród bezpowietrznych, lodowatych przestrzeni. To brzmiało jak bajka...

— Zaufaj mi — powiedziała unosząc głowę i układając wilgotne usta jak do pocałunku.

— Dobrze, pani...

— Będziesz musiał odprowadzić Wilków o dzień drogi stąd — to twój obowiązek. Ja pojedę do Harrane...

— Pozwól mi przeprowadzić cię pani choćby tylko przez te dzikie ostępy.

— Dobrze, czekaj na mnie za dwa dni przy Granicznym Kamieniu Litterny. A teraz chodźmy do Albarecha. Czasu jest niewiele, aby wydobyć z niego tajemnicę.

— Co takiego?! Przecież on jest martwy.

— Cóż T. tego, porozmawiamy z nim. To łatwe póki ciało jest jeszcze ciepłe.

Oszołomiony Valkar poszedł za Eliana, odzyskała już siły, szła jak leśna boginka — pod jej stopą nie trzasnęła najmniejsza gałązka, nie zaszeleścił liść. Jakby płynęła w powietrzu.

Wilkowie zdążyli sprowadzić swoje konie na Uroczysko, ładowali w juki wszystko co przedstawiało jakąkolwiek wartość, dając jednak pierwszeństwo złotym i srebrnym ozdobom zdartym z kapłanów. Weszli do domu, Albarech leżał jak poprzednio twarzą w popiołach ogniska. Nikt go nie tknął mimo, że miał na sobie bezcenne klejnoty. Eliana przyklękła przy nim, wyciągnęła ramiona nad martwą głowę maga szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa. W ciemnej izbie rozbłysła nagle jasność — na kształt błyskawicy. Valkar odskoczył pod ścianę mrużąc oczy. Gdy znowu zaczął widzieć, z ust wyrwał mu się okrzyk przestachu — w ognisku spoczywało ciało kobiety. Nad nią stał wysoki, siwowłosy starzec o pobrużdżonej setkami zmarszczek twarzy. Patrzył na Valkara z nienawiścią.

— Mało ci mojej śmierci, przeklęty Galaktydo!/? Wykorzystujesz tę dziewczkę, żeby mnie dręczyć...

W głowie Valkara rozbrzmiał głos Eliany: „on myśli Yalkarze, że jesteś jednym z Bogów Nieba zwanych Sędziami Galaktycznymi...”

Valkar zrozumiał i ocknęło się w nim coś na kształt sympatii i współczucia do... właśnie, do kogo? Kim był Albarech?

— Powierniku Strachu mylisz się. Jestem wojownikiem Ziemi, a Sędziowie Galaktyczni to moi zacięci wrogowie — powiedział spokojnie, mocnym jasnym głosem.

Starzec znieruchomiał, jego zniszczona twarz nie wyrażała nic, jednak z całej jego postaci biło zaskoczenie.

— Czyżbyś mówił prawdę... — powiedział z jakąś dziwną zadumą. •— Pozwól mi wniknąć w twój umysł, abym mógł to sprawdzić...

„Nie rób tego Yalkarze. Opanuje cię i uczyni fanatykiem swej przeklętej religii” — azwonił mu w głowie przerażony głos Eliany. Młodzieniec patrzy prosto w wyblakłe oczy maga. Nie znalazł w nich zdrady.

— Dobrze — powiedział i uczył jak coś wysysa z niego wszystkie wspomnienia, całą jego jaźń.

Czas znikł, było tylko trwanie.

Otworzywszy oczy dojrzał gorzki uśmiech na twarzy Albarecha.

— A więc to prawda... znowu przedstawiciele Ziemi i Alimor starli się w walce, ciesząc tym przeklętych Sędziów! Dość tego! Dam ci to, czego pragniesz — ja, ostatni powiernik broni Alimor, przekazuję ci tę ostateczną broń. Walczyliśmy ze sobą, teraz jednak

bez wahania oddaję ci ją — użycie jej na zgubę Galaktydów... — przed twarzą Albarecha zapłonął świetlisty obłok. Pojawiły się w nim wykresy, jakieś cyfry... wiele, wiele zagadkowych symboli. Valkar nic z tego nie rozumiał, wiedział jednak, że jego pamięć zanotuje to wszystko bezbłędnie i z odtworzeniem przekazanych przez Albarecha informacji nie będzie kłopotu. Obłok zgasł, twarz Albarecha pograżyła się w mroku.

— Powierniku, jak to się stało, że Galaktydzi nie zdołali odkryć tajemnicy tej broni przez tyle stuleci? — Valkar zadał pytanie, które dręczyło go od dawna.

Głos Albarecha słabł, załamywał się, trudno go było pojąć. — Sędziowie twierdzą, że nie ma nic prócz technicyzowanej nauki... wszystko co nieuchwytnie i niemierzalne jest dla nich zabobonem, d'a mieszkańców Alimor zaś byio i jest nieodzownym składnikiem życia... Królowa Alimor — nasza duma oparta jest właśnie o ten nie dający się zdefiniować liczbami i stałymi fizycznymi czynnik... Zrozumiesz, to. Wiem, że ty potrafisz to zrozumieć...

Błyskawica przecięła powietrze — mag leżał twarzą w ognisku, Eliana klęczała nad nim. Na jej twarzy malowało się wyczerpanie. Drzwi z nagłą otworzyły się, stanął w nich Legen.

— Wilkołaku, odjeżdżamy. Straże doniosły o zbliżających się do uroczyska setkach pątników. Będziemy musieli się rozproszyć i przemykać pojedynczo.

Yalkar nie słuchał go, patrzył na Elianę. Jej oczy płonęły jak gwiazdy.

— Yalkarze, udało mi się poznać wiele tajemnic Albarecha. Gdybym znała je wcześniej! Znając je można pokusić się o wielkie rzeczy. Czarna Religia nie powinna zginąć... — urwała i popatrzyła na Yalkara wzrokiem jakiego jeszcze u niej nie widział. Poczul dziwne ukłucie w sercu.

— Jedźmy stąd — powiedział.

Dawno minęli już pierścień obławy. Yalkar był zmęczony; jechał obok Eliany. Twarz miał pogodną — znał tajemnicę Alimor i miał obietnicę najpiękniejszej z kobiet jakie spotkał w życiu.

Siedział skulony na kamieniu. Słońce rzucało zza drzew ostatnie, czerwone promienie. Polanę skrył już prawie całkowicie wieczorny cień.

Fala wściekłości podchodziła do gardła. Czul się jak ostatni głupiec. Poczucie godności kazało mu natychmiast osiodłać rumaka i odjechać. Ludzie czekali na Tajemnicę Alimor, a on... On nie potrafił się ruszyć z zimnego głazu, bo nadzieja coraz słabsza zresztą jeszcze się w nim tliła. Wstał przewyciężając bezwład ciała i zaczął chodzić niecierpliwie wokół kamienia. Wreszcie, gdy zrobiło się już prawie zupełnie ciemno — słońce skryło się za horyzontem — zdecydował się. Podeszedł do konia, oparł dłoń na jego pokrytym jedwabistą

sierścią boku a potem schylił się po siodło, I wtedy do jęgo uszu doszedł cichy odgłos kopyt końskich uderzających o pylistą drogę. Hokari zarżał — ostrzegwał swego pana o zbliżającym się jeźdźcu. Wydobył miecz, wbił go w ziemię i oparł się dłońmi o jego jelce. Czekał. Wreszcie jeździec wjechał na polankę. Drobną sylwetką odcinała się wyraźnie na tle szybko ciemniejącego nieba. A więc jednak... radość uderzyła młodzieńcowi do głowy. Postąpił krok i uniół prawą dłoń. Jeździec jakby zaskoczony zdarł konia. A potem powoli podjechał do stojącego nieruchomo wojownika. Yalkar spojrzał z bliska w twarz jeźdźcy i zmartwił. To był Legen — Wilk z Palenk. On też rozpoznał Yalkara.

— Wilkołaku! Co tu robisz? Wyznawcy Czarnej Religii są naprawdę wściekli. Radzę ci uciekać.

— Czekam — powiedział ponuro Yalkar.

— Czekasz?

— Eliana obiecała mi, że spotka się ze mną tutaj. Mieliśmy razem odjechać.

Mimo ciemności Yalkar zobaczył zdumienie rysujące się na twarzy Legena. Jego zaskoczenie było tak wielkie, że milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie powiedział głosem, w którym nie brzmiało nic poza bezbrzeżnym zdziwieniem:

— I ty uwierzyłeś czarownicy?